Nr. 25. Lwów, Niedziela dnia 18. Czerwca 1876 r. Rok III.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: roczuie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XXIV.

Towarzystwo wzajemnej adoracji.

Oile stronnictwa o wybitnych zasadach przyczyniają się do rozbudzenia ducha i zajmowania się sprawami publicznemi, wydobywając na jaw talenta i wśród dyskusji rodząc nowe myśli, któreby bez niej długo leżały uspione, o tyle koterje oparte na prywatnych stosunkach należących do nich osób, i występujące w sprawach publicznych ze stanowiska prywatnych interesów, antypatyj itd. działają szkodliwie, udaremniają wiele pożytecznych rzeczy i przyczyniają się do rozkładu społeczeństwa, ucząc je zamiast wielkodusznego poświęcenia, lichego sobkowstwa. Stronnictwu zawsze chodzi o to, j a k jakąś rzecz przeprowadzić, koterji zaś, k t o ją ma wziąć w ręce: pierwsza pracuje zawsze dla ogółu, druga dla jednostek: stronnictwo grupuje się około idei, sztandarem zaś koterji jest zawsze jakaś osoba. Rozumie się samo przez się, że każda koterja może być mniej lub więcej szkodliwą, podług tego, z jakich się ludzi składa. Jeżeli do niej należeć będą literaci i ludzie zajmujący stanowiska publiczne, z pewnością zrobią z niej „Towarzystwo wzajemnej adoracji.“ Takie stowarzyszenie składające się z kilku literatów bez talentu, polityków nie umiejących nawet elementarza politycznego, i uczonych bez nauki, istnieje w naszem mieście, a mając na swe usługi jeden organ publiczny, w którym szanowny prezes Towarzystwa jest głównym współpracownikiem, chciałoby nadawać ton wszystkim sprawom publicznym, zacząwszy od literatury, a skończywszy na polityce. Czynności członka tego stowarzyszenia jakkolwiek bardzo rozliczne, są łatwe i dadzą się streścić w kilku słowach. Oto naprzód potrzeba przy spotkaniu się z prezesem nadać twarzy wyraz jakby się było olśnionym jakąś niebieską światłością i zanucić hymn pochwalny, za co się otrzyma odpowiedni komplement i patent na wielkiego człowieka. Członkowie między sobą powinni się uważać za najpierwszych ludzi w narodzie i zdanie to rozgłaszać wszędzie ustnie i pisemnie. Jeżeli który z nich wystąpi z jakąkolwiek pracą choćby najlichszą, organ Towarzystwa bez wątpienia rozniesie zaraz „że pokazało się dzieło naszego (epitet ten jest stereotypowy) wielkiego uczonego, które pod względem erudycji, świetnych myśli, nowych poglądów, i idealnie pięknej formy nie ma dotychczas sobie równego.“ Do takiej reklamy dodaje się zwykle wielkie zdziwienie, dla czego paryska Akademja umiejętności nie pospieszyła jeszcze przed wydaniem dzieła, zamianować autora swym członkiem, czasami zaś umieszcza się wiadomość, że wiekopomne to dzieło tłumaczą najznakomitsi literaci na rozmaite języki europejskie. Skoro się taka wzmianka pojawi, członkowie Towarzystwa wnet po całem mieście rozgłaszają ustnie sławę świeżo mianowanego genjusza, i podnoszą za nim swe głosy w prywatnych domach i lokalach publicznych. Częstokroć uda im się przeciągnąć na swą stronę jakiego stojącego na uboczu literata, a ten w korespondencji do jakiego warszawskiego lub wielkopolskiego dziennika powtarza dobrodusznie to, co słyszał. W ten sposób nie minie dzień, żeby na horyzoncie naszego umysłowego życia nie pojawił się jaki wielki człowiek. „Całe miasto“ się dziwi, zkąd naraz tylu się bierze genjuszów i wszyscy się zastanawiają, co to ma znaczyć, że mimo tak wielkiego zastępu luminarzy, u nas jakoś wcale nie jasno. Dodać tutaj jeszcze musimy, że „Towarzystwo“ spełniając godnie swoje zadanie nie jest wcale skąpem w udzielaniu pochwał. Jak chwalić, to już bezwzględnie. Pochwała nic nie kosztuje, a im będzie większą, tem lepszy efekt wywoła. To też, jeżeli koterja wzajemnej adoracji uzna kogo za astronoma, zrobi zeń pewnie nowego Kopernika lub Kepplera; każdy przez nią uznany filozof będzie co najmniej Kantem, przyrodników ma większych od Darwina i Haeckla, poetów, którym bardzo mało już brakuje do prześcignięcia Mickiewicza, malarzy mało co gorszych od Rafaela, rzeźbiarzy, u których Canova, jeśliby żył, powinienby brać lekcji. Towarzystwo wzajemnej adoracji, jakkolwiek za główne zadanie ma uwielbianie wzajemne szczupłego grona swych członków, rozszerza je także i na ludzi niezwiązanych z nimi ścisłem ogniwem. Ktokolwiek uda się doń pokornie o poparcie, wyrazi swoje uwielbienie dla jednego z członków, a w szczególności dla prezesa, może być pewnym, że zostanie mianowany wielkim człowiekiem. Ludzi próżnych poddostatkiem, sława choćby chwilowa jest bardzo ponętną, to też Towarzystwo pozyskuje co raz to większą liczbę satelitów, którzy za to, że ich zrobiono wielkimi, z wdzięczności stają się chodzącemi trąbami, głoszącemi piramidalność głównych matador koterji. To nam tłumaczy, dla czego Towarzystwo wzajemnej adoracji, które właściwie składa się z nie wielu członków, nafabrykowało w tak krótkim czasie tylu wielkich ludzi. Niedawno temu mieliśmy ciekawy przykład, jak zamianowano „poetą“ i „pożytecznym pracownikiem na polu literatury polskiej“ niejakiego p. Bolesławicza, autora „Bałamutek.“ „Bałamutki“ te mogą iść o lepsze z słynnemi „Erotkami,“ Skorodradzkiego, i wyróżniają się z pomiędzy innych płodów poetyckich ogłoszonych w ostatnich czasach, które w ogóle genjalnością nie grzeszą, okropną formą i zupełnym brakiem sensu; mimo to zamianowano ich autora wielkim człowiekiem, bo jużci „poeta“ i „pracownik pożyteczny na polu literatury ojczystej“ to nie lada człowiek. A dla czego? Oto dla tego, ponieważ sprytny autor „Bałamutek“ dedykował je prezesowi znanego stowarzyszenia.

To cośmy powiedzieli dotychczas o lwowskiej koterji wzajemnej adoracji, wykazuje jasno jak jest szkodliwą. Tworzenie wielkich ludzi na poczekaniu, bez głębszego zastanowienia się, za uśmiech, ukłon, przez protekcję trzeciej osoby, o ile jest śmiesznem, o tyle sprowadzając reklamę i dziennikarskie recenzje *ad absurdum*, podkopuje znaczenie ludzi prawdziwie zdolnych i zasłużonych i zmusza ich dla własnej godności, do usunięcia się od spraw publicznych. Utalentowanemu, zasłużonemu pisarzowi, byłby wstyd, gdyby go ten, który tak pochlebnie ocenił „Bałamutki“ w ten sam sposób i na tem samem miejscu w organie koterji pochwalił. Z drugiej strony

wzajemna ta adoracja oddziaływa zgubnie na publiczność, która jest zanadto rozumną, aby nie postrzedz, że nie zasługa, talent i praca otrzymują nagrodę w sławie, ale piękny ukłon, zręczny komplement lub prywatna przysługa. Wobec tego staje się ona cynicznie podejrzliwą nawet wobec największego talentu i pracy.

Gdyby jednak szkodliwość tej koterji ograniczała się tylko na bezwzględnem chwaleniu, i tworzeniu sztucznych wielkości, byłoby jeszcze pół biedy, bo koterja byłaby wtedy tylko śmieszną ale ona sięga dalej. Tak samo jak swoich członków, zwolenników i mimowolnych poddanych bezwzględnie wychwala, tak samo potępia prace swych przeciwników i tych, którzy wierząc w swój talent, uznali za niegodne siebie czapkowanie przed areopagiem głów słabych a próżnych. A niech, broń Boże! rozpocznie się jakie współzawodnictwo prywatne między człowiekiem niezawisłym, a członkiem koterji, wtedy jakbyś poruszył gniazdo szerszeni, wszyscy członkowie rzucają się, ich organ grzmi, nazwą przeciwnika choćby był najpoczciwszym i uczonym, złym Polakiem, człowiekiem niehonorowym, nieukiem itd. Nie lubimy mówić bez dowodów. Przed kilkoma miesiącami z redakcji „Szkoły" wystąpił p. Samolewicz, a miejsce jego jako naczelnego redaktora zajął p. Tatomir. Gdy się to stało, wnet w organie Towarzystwa wzajemnej adoracji rozpoczęto strzelaninę przeciw p. Tatomirowi, odmówiono mu znajomości pedagogji, a gdy to zdementowano, wynaleziono gdzieś jakiś świstek z jego wykładów historji polskiej, Bóg wie przez kogo notowany i napisano mniej więcej w ten sposób: Nie jesteśmy nieprzyjaciółmi p. T. czego najlepszym dowodem, że mamy uprzejmie udzielone nam zapiski z wykładów jego historji polskiej, dające wiele do myślenia o jego stanowisku wobec sprawy narodowej, a jednak nie robimy z nich użytku." Znaczy to samo, co zarzucić komuś brak patrjotyzmu. Potrzeba było ustalonej opinji o p. Tatomirze, i jego energicznej odpowiedzi, ażeby wyjaśnić bezpodstawność tych podstępnie, a więc nieuczciwie rzuconych podejrzeń. A wiecie dla czego wystąpiono przeciw p. Tatomirowi? Oto dla tego, że nie należy do koterji wzajemnej adoracji i że otrzymał posadę redaktora „Szkoły," na którą zacne „Towarzystwo" chciało koniecznie narzucić jednego ze swoich europejskiej sławy pedagogów.

Broni tej jednak, którą wyciągnięto z arsenału przeciw p. Tatomirowi, używają „adorantes" tylko w ostatecznych wypadkach; zwykle ograniczają się na prywatnem kolportowaniu nieprzyjaznych zdań o dziele lub osobie, będącej im nie na rękę. W sądach o dziełach, o projektach odnoszących się do spraw publicznych, główną zawsze uwagę kładą na osobę, która jest autorem, a nie na rzecz samą. To też zdarza się, że ktoś z przeciwników ich koterji napisze książkę, którą muszą uznać za dobrą i pożyteczną. Gdyby jej autorem był który członek koterji, hymny pochwalne grzmiałyby pod niebiosy, ale że tak nie jest, wiec cóż robią? Ganić niepodobna, więc najlepiej się zrobi, jeżeli się będzie milczeć; w ten sposób wielka część publiczności będąca w styczności z „adorantami" i prenumerująca ich organ nie dowie się, chyba przypadkiem o istnieniu dzieła, które o tyle jest tylko złem, że nie jest płodem żadnego z członków koterji.

Zarzuty, które uczyniliśmy lwowskiej koterji sztucznych wielkości są ciężkie: prywata jest główną podstawą czynności tych ludzi, którzy ciągle ojczyznę i dobro publiczne mają na ustach. Wielu z nich woła: „Cierpieliśmy za kraj i życie zań oddamy!" My im odpowiemy: Ofiary z życia obecnie kraj od was nie wymaga, ale złóżcie na ołtarzu ojczyzny waszą zarozumiałość, pychę i prywatne niechęci. Pracujcie dla kraju szczerze, odtrąćcie od siebie prywatę, która nas do zguby przywiodła, popierajcie każdą poczciwą myśl, która dla kraju korzyść przyniesie bez względu na to, z czyjej głowy wyszła, nie ubiegajcie się za sztuczną sławą, ale za pożytkiem dla narodu, a zasłużycie się krajowi więcej niż gdybyście dali się wrogom zabić lub strącić do więzienia. Cierpienie jest bierne i zasługuje na poważanie, ale tylko czyn przynosi korzyść i odbiera nagrodę! Odrzućcie więc szczudła, sztuczne wielkości, pogardźcie osobistemi niechęciami, a wybaczcie nam tych kilka gorżkich słów, które nam nie niechęć, lecz wspólna sprawa, wymagająca skupienia, a nie rozbijania sił na koterje podyktowała.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach
przez
J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(Ciąg dalszy).

CZĘŚĆ TRZECIA.

Emigrant i wygnaniec.

XI.

Odszedł pan Bartłomiej od cioci Giefi, a ciężko mu było na sercu, gryzł się, dąsał, za wąsy szarpał i byłby je może powyrywał, gdyby nie to, że się doskonale zakorzeniły w szlacheckiej skórze.

— Czy siak czy tak, panie bratku — mówił do siebie — czy siak czy tak, źle!... Ratunku nie ma, rady nie ma!... Szelmy! łotry! urwisze! gałgany!... już to ja ich czułem przez skórę!... A moja wina! niczyja tylko moja!... Gdybym był wówczas, kiedy staremu rotmistrzowi ni ztąd ni zowąd przyszło do głowy marszałkowi oddać w fideikomis swoje mienie, gdybym był wówczas, tak jak miałem ochotę, zawołał: „Rotmistrzu, nie czyń tego!" gdybym był przestrzegł jak byłem powinien, byłby przecież stary opamiętał się może... A tak!... Hultajom, pyszałkom, ludziom bez Boga w sercu oddał perłę ziemi podolskiej, wioskę, na którą ten lis marszałek ostrzył sobie zęby od tylu lat, a dzieciom nie zostawił nic!... I to się nazywa rozum?... i to przezorność? pfe! wstyd panie bratku!... Dzieci będą teraz marły, głód na obczyźnie, zginie i sponiewiera się na tułaczu zacna rodzina, a sam stary nędzy zazna nad grobem, bo o wydarciu Zaskala z paszczy Szóstackich, o zmuszeniu ich żeby zapłacili choć coś, ani myśleć... Łatwiej z paszczy wilka zdobycz ocalić, niż z takiego dorobkowca sępich pazurów!...

Tak rozmawiając sam z sobą włóczył się szaraczkowy poczciwiec po obcem mieście, bez żadnego planu i celu. Snać pomysł mu się nie nasuwał żaden, jakby przyjaciołom pomódz w przygodzie, jakby ich poratować w nieszczęściu. Chodził widocznie dlatego tylko, żeby żółć, która mu się w piersiach zebrała, rozeszła się i rozmieściła dogodniej po organizmie.

Po kilku godzinach takiej bezcelowej przechadzki po ulicach, zmęczony spoczął na ławce w jednej z alei Zwingeru i pogrążył się w zadumie, nie uważając wcale na przechodniów.

W liczbie tych przechodniów był przecież ktoś, co na niego zwrócił uwagę i przeszedłszy kilka razy tam i napowrót pilnie mu się przypatrywał, a nareszcie przekonawszy się widać, że się nie myli, zbliżył się do niego, dłoń mu lekko na ramieniu położył i powitał go chrześcjańskim:

— Niech będzie pochwalony!...

— Na wieki wieków — odpowiedział Zahajpolski i spojrzał na zaczepiającego.

Stał przed nim mężczyzna może sześćdziesięcioletni, ale wyglądający krzepko i zdrowo. Twarz miał ogoloną zupełnie, czerstwą, ogorzałą. Blizna dosyć szeroka przerzynała mu środek lewego policzka, koniec jej znikał pod czapką z daszkiem. Blizna ta zdawała się świadczyć, że jej posiadacz bawił się w żołnierkę, ubranie przecież inne zupełnie oddawało świadectwo. Wojskowi lubią się nosić opięto i krótko, i lubią pamiętać o odzieży, ten był ubrany jakby sobie wczoraj dopiero odzieży od kogoś pożyczył i chodzić w niej jeszcze nie przywykł. Głos mówiącego przypominał sobie pan Bartłomiej, zdawało mu się przynajmniej, że dźwięk jego mowy nie jest mu obcy, ale postawy ani twarzy przypomnieć sobie nie mógł.

— Nie poznajesz mnie, panie Bartłomieju? — zapytał zaczepiający — a przecież... czy siak czy tak, panie bratku... nieraz odsłaniałeś przedemną tajemnice swego sumienia...

Wzmianka ta wyjaśniła panu Bartłomiejowi wszystko.

— Ojciec Fulgencjusz! — zawołał niedowierzając sobie jeszcze.

— On sam... do niepoznania zmieniony w tem przebraniu.... nieprawdaż?.... Ale trudno.. Po upadku powstania w naszej okolicy nie było mi co robić w Gradowcach... czekała zsyłka albo co gorszego jeszcze... miałem do wyboru dwoje... uciekać zagranicę lub iść do obozu za kapelana... wybrałem drugie... wziąłem krzyż w rękę i poszedłem. Od oddziału przechodząc do oddziału, zagrzewałem ducha i niosłem chrześcijańską pociechę umierającym. Bóg dopomógł i ocalał mnie prawie do ostatniej chwili. W jednej z ostatnich potyczek, na wiosnę tego roku, klęczącego przy rannym, który jak sądziłem za chwilę miał oddać ducha, płatnął mnie jakiś kozak szaszką i pozostawił mi tę pamiątkę, którą do śmierci nosić będę na twarzy, ale twarda dusza kapucyńska nie chciała wyjść z pod habitu od tego cięcia. Kazacy popędzili dalej, lud okoliczny opatrzył ranę moją i tego wiarusa, którego błogosławiłem na tamten świat. Poczciwe chłopstwo ukrywało nas obu w gęstwinie leśnej, pókiśmy się nie wylizali, a potem ułatwiło nam ucieczkę za granicę. Ale uciekając potrzeba było pozbyć się kapucyńskiej skóry, mniszej odzieży i brody. Rozstałem się zatem z temi oznakami mego

kapłańskiego stanu, i przybyłem tutaj chwilowo, a że i tu odzież mnisza nie jest dozwolona, więc jeszcze do niej powrócić nie mogłem. Oto jest cała moja historja, panie Bartłomieju, i oto przyczyna dlaczego z mnicha widzisz mnie przedzierzgniętego w laika, tak dobrze, że mnie poznać nie mogłeś. A jakież twoje dzieje na tułaczce, panie Zahajpolski?

— Głupie, ojcze dobrodzieju, nad wyraz głupie i ciężko grzeszne. Wyparty do Galicji, internowany, kląłem tylko, kląłem i kląłem na czem świat stoi, póki mnie tutaj nie przywieźli, a tutaj klnę znów dalej i rozgrzeszeniabym nie dostał za te klątwy... Ale co począć? jak nie kląć, kiedy złe tryumfuje, kiedy ci co w Boga nie wierzą są górą, kiedy wszystko co słuszne i co święte sponiewierane i pohańbione, kiedy nie ma sprawiedliwości ani w niebie ani na ziemi...

— Nie bluźnij, panie Zahajpolski — przerwał łagodnie kapłan — to są próby na które nas Bóg skazał za grzechy naszej przeszłości, nie dodawajmy do tych grzechów nowego: zwątpienia w Opatrzność Bożą, aby nie przeciężyć ich szali... Wierzmy, że przyjdzie godzina, która skończy naszą pokutę.

— *Mea culpa*, zgrzeszyłem, ojcze dobrodzieju... ale Bóg mi świadkiem, że trudno panować nad sobą... Dziś znowu dowiedziałem się o nowej zgrozie, o nowej klęsce, która dotyka ludzi zacnych a ciężko doświadczonych, więc nie dziw, że żółć we mnie wezbrała, i że aż bluźnić byłem gotów...

Tu pan Bartłomiej opowiedział ojcu Fulgencjuszowi historję, której się dowiedział od cioci Giefi.

— A znam ich położenie — dodał kończąc — nie mają prawie nic. Co było zapasu pochłonęła ucieczka rotmistrza, rozeszło się na pobyt w Ołomuńcu i tutaj. Stanisław wolno przychodził do zdrowia z odniesionej rany, pracować nie mógł, zresztą jeżeli tylko jego praca im pozostanie, to nie wystarczy na wygody potrzebne dla rotmistrza i dla żony Stanisława i dla dziecka...

— Więc jest dziecko?...

— Jest... syn... mój chrześniak, ojcze dobrodzieju... — rzekł pokręcając wąsa pan Bartłomiej, ma dopiero miesiąc, ale widać mu z miny, że będzie z niego tęgi kawalerzysta, chociaż między szołdrami na świat przyszedł... bo siak czy tak panie bratku, polska krew choć pośród szwabów, to zawsze polska krew!... Ale wracając do rzeczy, jedynem źródłem, na które liczyli, było Zaskale, a raczej suma, którą się dostać spodziewali od Szóstackich za rzeczywiste odstąpienie tej wioski. A teraz masz!... Jak się o tej niegodziwości dowiedziałem, tom się tak zgryzł, żem się im na oczy pokazać nie śmiał... Mnież to przyszło wnosić rozpacz i zgryzotę w ich dom? Krocset tysięcy!...

Uniósł się Zahajpolski i chciał kląć, ale spojrzawszy na księdza powstrzymał się i usta sobie ręką zasłonił.

— Panie Zahajpolski — rzekł kapucyn — są trzy powody, żeby się tem wszystkiem nie martwić.

— Trzy powody, a no proszę, jakież to?

— Najprzód może to wszystko tylko babska plotka pani Wieluńskiej...

— Tak i jabym z pewnością myślał, ojcze dobrodzieju, gdybym nie znał tych paniczów... syn lala, ojciec mądrala... obu nabić w armatę i wystrzelić, tak mi panie Boże dopomóż!...

— Nie godzi się tak źle sądzić o bliźnich, ale zresztą przekonamy się... Jest jednak drugi wzgląd...

— Ciekawym bardzo...

— Może Stanisław, jego żona i rotmistrz nie takiemi oczyma patrzą na tę sprawę jak pan, panie Bartłomieju. Strata majątku, dla tych tylko jest stratą, co bez niego nie potrafią zdobyć sobie utrzymania. Stanisław, o ile mi wiadomo, nigdy na majątek nie liczył, tylko na swą głowę i ręce...

— Głowa i ręce!... Dobre to u nas w kraju, ale nie tu między szołdrami...

— Kształcił się przez czas dłuższy za granicą, nie jest tutaj w miejscu nieznanem i będzie mógł dać sobie radę...

— Daj Boże! daj Boże!... czy tak czy siak panie bratku, jeżeli jednak są tylko dwa względy, to ja liczę najbardziej, na ten trzeci o którym jeszcze nic nie mówił ojciec dobrodziej...

— I masz słuszność — odrzekł poważnie kapucyn — masz słuszność panie Bartłomieju, tym trzecim względem jest wiara w Boga, który o wszystkich pamięta, i wiara w dobrych ludzi, którzy poczciwemu zawsze podadzą rękę.

Było to powiedziane z tak głębokiem przekonaniem, że sceptycyzm pana Bartłomieja nie śmiał już występować z opozycją.

Milczeli przez chwilę.

— Wiesz pan co, panie Zahajpolski — rzekł ojciec Fulgencjusz po niejakim namyśle — chodźmy do tego pana Szóstackiego

— Do kaduka! — przerwał Zahajpolski, — teraz się mówi do jaśnie wielmożnego hrabiego Szóstackiego... Widać że to wszyscy przekradając się przez granicę stawać się muszą czemś odmiennem. Ksiądz dobrodziej musiałeś zrzucić habit i ogolić brodę, a on nieborak był zmuszony przystroić czuprynę w hrabską koronę...

— *Vanitas vanitatis!* zanadto mała to rzecz, ażeby mu ją brać za złe. Kiedy chce być hrabią, chodźmy do hrabiego... byliśmy przecież obaj świadkami tej mniemanej sprzedaży... wierzaj mi, panie Zahajpolski, że z nami inaczej będzie gadał jak z panią szambelanową.

— A no, kiedy iść to chodźmy... alem pewny, że się nam w oczy wyprze, to czelna szelma... już ja ich znam przez skórę, tych farbowanych...

Poszli. Dość znaczną odległość od Zwingeru do ulicy Moszczyńskiego przebyli szybko snać zaprawili się obaj do pieszych uganianek po lasach, więc dla ich nóg wzwyczajonych, przechadzka po taflowych chodnikach była igraszką.

Fritz Hahn otworzył im jak przedtem cioci Giefi i na polskie zapytanie o hrabiego miał znów sposobność dać swoją stereotypową odpowiedź:

— *Verst...*

Ale nie dokończył tej odpowiedzi, zakrztusił się chyba, czy na nim widok którego z przechodniów nieprzyjemne zrobił wrażenie. Wymówił tylko pierwszą sylabę i spuścił oczy jeszcze szybciej i jeszcze niżej niż to było jego zwyczajem.

— Pan hrabia w domu? — powtórzył nie rozumiejąc tej mimiki lokaja ojciec Fulgencjusz.

— Jes... — szepnął z cicha podobny do Rafała Fajskiego rodowity Niemiec, ale i tego wyrazu nie dokończył, tylko usunął się w głąb przedpokoju, gdzie światło nie tak dobrze padało mu na twarz.

— *Jerszt! yes!* — powtórzył Zahajpolski — kadukby się z nim dogadał... anglik widać jakiś... pan hrabia trzyma sobie anglika... chodźmy zobaczyć sami czyśmy go zastali czy nie...

Weszli.

Gdyby byli mogli obejrzeć się i zobaczyć co się po ich odejściu działo, zobaczyliby przedewszystkiem, że Fritz Hahn obtarł sobie czoło, jakby z potu, którym nagle pomimo chłodnej pory został oblany i że przy tem obtarciu wykrzywiła mu się peruka; że następnie Fritz Hahn wyjął z kieszeni szczoteczkę z lusterkiem, przejrzał się i ręką się w czoło uderzył, powtarzając z cicha:

— *Bin ich aber dumm, aber dumm!...*

Usłyszeliby dalej, że na Fritza Hahna spłynął dar Ducha św. i że mocą tego daru, tenże Fritz Hahn, rodowity Niemiec, nie umiejący ani słowa po polsku, do powyższych wyrazów dodał najdokładniej wymówione w języku polskim:

— A choćby mnie i poznał, to mi tu zrobi figę, figę!...

Poczem poprawił perukę, przejrzał się jeszcze raz, uśmiechnął się, szczoteczkę schował do kieszeni i na palcach poszedł do drzwi saloniku, w którym pan Artur przyjmował swoich gości. Tu umieścił się w pochylonej pozycji tak, że ucho jego w równej linji było z dziurką od klucza, musiał widać upatrywać jakiejś plamki na podłodze, a plamka ta była zapewne dla niego wielce interesującą, gdyż przez cały czas bytności ojca Fulgencjusza z panem Bartłomiejem, u byłego kamerjunkra, postawy nie zmienił i wpatrywać się w podłogę nie przestawał.

XII.

Jeżeli Duch św. który tak nagle obdarzył Fritza Hahna umiejętnością nieznanych mu przedtem języków, dał mu nietylko zdolność mówienia, ale i rozumienia tego co inni obcemi językami mówią, to Fritz Hahn, z wyjątkiem kilku wstępnych frazesów, które pan Bartłomiej i ojciec Fulgencjusz z byłym kamerjunkrem zamienili, mógł rozumieć i słyszeć od początku do końca całą następującą rozmowę:

— Pan hrabia — mówił pan Bartłomiej — był podobno łaskaw oświadczyć pani szambelanowej Wieluńskiej, żeście panowie to jest pański ojciec i pan, w jej oczach za gotówkę kupili Zaskale, od pana rotmistrza Gradowskiego, że zatem z tytułu kupna tej wioski nic się od panów panu rotmistrzowi nie należy...

— O ile sobie przypominam — odpowiedział na to hrabia Artur — wyraziłem się mniej więcej w ten sposób...

— I pan hrabia powtarza to obecnie?..

— Przeciwnie... pan powtarzasz... ja tylko poświadczam, że rzeczywiście wyraziłem się w tym sensie...

Odpowiedź ta wskazywała, że pan Artur chce prowadzić całą rozmowę w sposób jak można najbardziej dyplomatyczny.

— Pan hrabia jednak — wtrącił ojciec Fulgencjusz, mitygując wzrokiem Zahajpolskiego, który już był gotów wybuchnąć — pan hrabia przypominasz sobie, że przy akcie tej sprzedaży byli jeszcze inni świadkowie.

— O ile sobie przypominam byli... a nawet w ich liczbie sądzę, że się obaj panowie znajdowaliście...

— To prawda... Otóż inni świadkowie są tego zdania, że rzecz miała się trochę inaczej... czy pan hrabia temu zaprzecza?

— Niczemu nie zaprzeczam... owszem.. — odpowiedział spokojnie były kamerjunkier — dziwi mnie nawet trochę, że panowie moglibyście żądać żebym w obec gadatliwej prawdopodobnie kobiety wyrażał się inaczej, i narażał całą sprawę na wyjawienie.

Było to prawie wyraźne przyznanie się, że kupno było tylko fikcyjne i po tych słowach zdawało się, że całe przypuszczenie, cały przestrach pana Bartłomieja były tylko rzeczywiście wynikiem babskiej plotki, w którą poczciwy szaraczek lekkomyślnie uwierzył.

To też ojciec Fulgencjusz prawie tryumfująco spojrzał na swego towarzysza a Zahajpolski czuł się trochę pomięszanym i zawstydzonym.

— Byliśmy przekonani, że te słowa z ust pana hrabiego usłyszymy — rzekł po chwili wstając z krzesła kapucyn — wiedzieliśmy o tem, że pan hrabia nie ubliży godności swojej i nie odmówi świadectwa prawdzie, a wizytę naszą niech pan zechce przypisać życzliwej chęci położenia tamy niedorzecznej plotce w samem jej źródle. Teraz nie pozostaje nam nic więcej tylko pożegnać pana hrabiego.

Pan Artur z całą uprzejmością uścisnął dłoń kapucyna, rad wyraźnie z tak pomyślnego przebiegu i szybkiego zakończenia uroczystej a drażliwej rozmowy.

— Dziękuję panom, żeście mieli o mnie i o moim ojcu taką dobrą opinję.

Mówiąc te słowa wyciągał obie ręce do Zahajpolskiego, swego niegdyś w służbie powstańczej dowódcy. (C. d. n)

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Ten niespodziewany obrót rzeczy nietylko rozwiał srogie obawy królowej, lecz zrodził w niej nadto pomysł do czynu, który w liczbie tragicznych momentów naszego dramatu najwyższe zajmuje miejsce. Strasznej kobiecie przypomniało się to o czem wiedziała z domowych skazek: jak bracia jej ojca gwałtownie konali. Teraz stryje jej męża zawistni Popielowi mieli znaleść się wszyscy pod dachem jej własnego domu... W obec tych okoliczności cóż łatwiejszego nad owę myśl, która po scenie dopiero opisanej jakby za jakimś szatańskim podszeptem powstała w duszy Adeli:

Czy to sen tylko? czy to czarów dziwa?
— — — — — — — — — —
Cała rodzina więc tutaj zagości!
Wszyscy stryjowie tutaj!... ha! królowo,
Ja tobie do nóg padnę za to słowo..
Oni nie wyjdą już stąd! —

Był to nie tylko pomysł przelotny, ale mocne postanowienie, które też z całą konsekwencją przyprowadzonem zostało do skutku. W wybornych, wykończonych rysach skreślił poeta ten prawdziwie Szekspirowski obraz. W zamkowej sali zastawiają stół do uczty. Krząta się piękna Kalina niosąca chleby wiejskie, z wieśniaczej swej chaty przynosi Piast skromne dary, a za królową wnoszą sludzy jasne i ciemne dzbany, zwiastuny niedobrych zamiarów. Ona sama do ciemnych dzbanów nalewa z dzbanuszka trujące jady, przyrządzone wprawną ręką starej sługi. Piekielna akcja rozpoczęta. Już łódź wioząca dwóch stryjów na głębinach jeziora chwieje się i tonie... Nadaremnie w Popielu patrzącym na te wymierzone i w części już wykonane zamachy budzi się jakby z uśpienia szlachetniejsza natura, napróżno powstaje i kona w nim myśl, iż oczy czystych ludzi jak Piasta przenikać muszą czarne jego żądze aż do samej głębi: charakter raz złamany może mieć jeszcze niekiedy silniejsze porywy, ale będą one już tylko luźnemi wybłyskami, jaskrawemi wprawdzie, ale bez skutku. Toż łatwo zwycięża przewrotna Niemka. Jej uwaga, jako

— — świat gubi małego zbrodniarza,
Potężna zbrodnia tak ludzi przeraża,
Że na sam rozgłos uklękają w skrusze..

pada stanowczo na szalę królewskiego sumienia; a Popiel, jakkolwiek wolałby wrogich sobie krewnych na polu bitwy spotkać z orężem w ręku, godzi się przecież na to, co haniebnie ukartowano.

— Ha! truć tak chytrze swych gości,
Tej mi odwagi piekło pozazdrości!
Gdyby już byli! —

Nie wszyscy stryjowie udali się na urodziny Popielowego syna, lecz tylko sześciu. Z tych dwaj podstępną ręką sługi, który ich przewoził przez Gopło, znaleźli śmierć na dnie fali; czterej zaś inni, między nimi także szlachetny Władysław, przybyli na zamek. Zgromadzona rodzina zasiadła przełamać się chlebem pojednania i w miłości wypić zdrowie nowonarodzonego dzieciątka. Adela i Popiel krzątają się około ucztujących nalewając miody, tamta w dzbany szare dla stryjów, ten w jasne dla swoich. Wypili raz i drugi za pomyślność króla i za zdrowie jego potomka — w tem zachwiał się Władysław, padł na ziemię i skonał. Kiedy drudzy spoglądają na siebie, jakby pytali co to wszystko znaczy, powiada Popiel na pół nieprzytomny:

Czy wejdzie szabla, czy trucizna w łono,
To wszystko jedno i lepsze od wojny —

ale rychło przychodzi do siebie i nie tylko odkrywa co się stało, lecz szlachetniejszej folgując naturze, która w nim się na chwilę obudziła, porywa trzy miecze ze ściany, daje bladym stryjom, a sam dobywszy swego woła:

.....moje serce dłużej nie wytrzyma,
Byście mi gaśli jak psy przed oczyma,
Bez walki mieczem. O! moi stryjowie,
Ten jad nie wylągł się w Popiela głowie,
Ten jad... ja chciałem stoczyć z wami boje,
Ten jad... nie tknęły go się ręce moje,
Gińcie rycersko!

Nadaremnie wszakże nieszczęśliwi chwytają za oręże; trucizna mocniejsza była nad ich wolę — padają także nieżywi. Następuje moment kulminacyjny tych tragicznych wypadków. Przytomna wszystkiemu Bożenna rzuca straszne przekleństwo na głowę Popiela, Adeli i ich syna. Po raz pierwszy wówczas wstrzęsła się na prawdę w swem sumieniu okropna kobieta, bo oto w ślad zaświeżą zbrodnią i za klątwą jak karząca Nemezys przybywa wieść, że wybuchły rokosze w dzielnicach, w których władali potruci, a nadto trzej żyjący jeszcze stryjowie podnieśli wojnę przeciw Popielowi. Tu zamyka się akt trzeci.

Następujące jeszcze dwa akty będą już tylko prowadzić do ostatecznego rozwiązania napiętych kolizyj dramatycznych. Przedewszystkiem rozwinąć się musi walka ze stryjami, podsycana ogólną dezorganizacją państwa tudzież wątpliwem zachowaniem się kmieci. Walka ta staje też rzeczywiście przed oczyma widzów w całej grozie swych fatalnych rezultatów. Nie pochodzą one jednak od materjalnej lub moralnej przewagi zbuntowanych, bo w ich liczbie nawet Zbigniew dążący do jedynowładzy nie wygląda w niczem na bohatyra. Niepowodzenie jest tylko koniecznym wypływem tragicznego przełamania się Popiela. Bo i jakże zachowuje się on w tych chwilach decydujących? Oto chociaż przy pomocy dzielnych Zaodrzan Zbigniewowe hufy porażone uciekać poczynają, on bitwę umyślnie wstrzymuje a tymczasem szle wieszczków pytać o wyrocznię! Skutki matczynej klątwy chciałby zniszczyć ofiarami, przebłagać bogów, zrzucić z siebie nieszczęsne znamię zbrodniarza, a wstąpić znowu na drogę, po której tak świetnie kroczył do wielkiego celu...

— Jeszcze moim świat! jeszcze go czuję
Pod stopą. Jutro bój o niego wznowię.
Jutro?... dziś jeszcze, jeśli mi posłowie
Z gontyn wieść dobrą przyniosą — uderzę!
Jutro roztrzygnie, kto panem!

Ale niepewność jak żmija wkrada się do jego duszy, o! bo w swej głowie nie ma on ani jednej „jasnej myśli," którejby śmierć nie plamiła. Przeczuwa swój wyrok, lecz i to dobrze czuje, iż kiedy sam runie, wówczas i starzy bogowie z nim koniecznie runąć muszą. Wszak nietylko posiłkowany niemieckim mieczem toruje sobie krzyż drogę do tych ziem, ale i przez ciche miłościwe apostołowanie, a św. Metody pojawiający się w dramacie kilkakrotnie w swej missji, wzgardzony od możnych lub nierozumiany umie przecież trafiać do serc prostych. Piast choć dawnych bogów się nie wyrzeka, jednak nowemu czci swej nie odmawia.

Wieszczek od gontyn powraca z niedobrą wieścią:

Głos bogów głosem matki i narodu!

Ze strasznem tem słowem upadła ostatnia moralna podpora, mogąca jeszcze podnieść złamanego ducha w Popielu. Wprawdzie usiłuje on

wmówić w siebie dawną dzielność, wprawdzie woła głośno że „bogi kłamią,“ a zwycięstwo musi być po jego stronie, ale głos to nie szczery, bo przecież sam czuje wyraźnie, że jest ktoś mocniejszy, co lodem pierś mu ścina i miecz z ręki wytrąca.

Nie lepsze położenie głównej sprawczyni tych rzeczy. Adela zamknięta w goplańskiej baszcie jest prawie bliską pomięszania, tak razem działają na jej umysł i pamięć zbrodnie i widok bliskiego niebezpieczeństwa. Przed zemstą stryjów jeszcze tylko kmiecie uratować ją mogą, więc chwyta podany sobie plan z radością i decyduje się oddać Kalinę Ziemowitowi. Wszelako i w tem ją los zawodzi. Ziemowita miłość nic tu pomódz nie może, bo oto właśnie na czele kmiecych zastępów zajęty jest ratowaniem kraju od uzurpatorów, a Piast wspaniałość królowej wprost odrzuca, ażeby nie „podpierać zbrodni Popielowych“.

Żaden już przeto środek nie zdoła wstrzymać katastrofy. Sprawa ze stryjami coraz gorszy bierze obrót, a Ziemowit acz pokonał samolubne zachcianki ambitnych rycerzy, nie spieszy królowi z pomocą. Tymczasem Adela w przewidywaniu zgubnego końca napróżno ucieka się w modłach do Boga. Zatrute życia ziarno złe musi wydać nasienie. Zamierzona ucieczka nie udaje się, a gorące żądze zbrodniarki znajdują zasłużoną ochłodę na dnie Goplanej fali, do której wraz z synem swym się rzuciła. Sam Popiel spowodował taki koniec swej żony, poczem na wiadomość dobywania się stryjów do baszty, poszukał śmierci jak przystało na ostrzu własnego miecza.

Rola głównego bohatyra powinna się była skończyć jeszcze w akcie czwartym, jeżeli chodziło o tragiczne zamknięcie jego działania. Na to wskazywałby tytuł utworu jako tragedji. Poeta miał jednak widocznie w zamiarze nietylko stworzenie tragicznego charakteru w Popielu, ale nadto także uwydatnienie przejścia władzy królewskiej z krwawych rąk dotychczasowych władców w ręce historycznej dynastji, która przez pięć wieków Polsce panowała, a protoplastę swego ma w cichej legendowej postaci kołodzieja Piasta. Dalsze zatem sceny naszego utworu, który raczej za dramat społeczny niż za tragedję w ścisłem tego słowa znaczeniu uważać należy, przeznaczone są na to, ażeby spokojnego a miłego bogom kmiecia z Kruszwicy, który wraz z ludem swoim tyle zaważył na szali losów publicznych, przyozdobić spadłą z głowy Popielów koroną. Wyniesieniem Piasta na tron, dokonanem na wiecowem błoniu, kończy się też nasz dramat.

(Dok. nast.)

Messjanizm i Towiańszczyzna.

w ogólnym zarysie.

Napisał

Czesław Pieniążek.

(*Ciąg dalszy.*)

Tytuł tego pisma tłumaczy Mickiewicz w ostatniej swojej prelekcji 23 maja 1844, dając mu znaczenie komunji duchowej Francji i Polski, czyli biesiady duchowej; sama zaś „Biesiada“ mówi o sobie:

„A jako ludziom w sprawie Ducha wolno nam kielich przy gorącem westchnieniu za pomyślność Sprawy i Ojczyzny naszej wychylić — kielich pierwszy taki na ziemi; bo ani służby takiej na ziemi, a ztąd takiego kielicha nie było dotąd — pomnąc że pozwolono jest człowiekowi przez podniesienie ducha Wieczerzę Pańską odnawiać.“

Po tem zakończoniu następują zapowiedziane toasty.

„*Pierwszy Toast*“ „Boże! racz przyjąć na chwałę Twoją to pierwsze wydanie Najświętszej Sprawy Ducha, w formie ziemskiej.“

„Za pomyślność, za święcenie się Imienia Twojego o Panie! za pomyślność Najświętszej Sprawy ludów, za pomyślność Ojczyzny naszej.“

„*Drugi toast.*“ (Na cześć Napoleona) „Miłosierdzie Pana, odpuszczenie i pokój Tobie, i rychłe z nami zjednoczenie, o Duchu nam drogi Bohatera, Bracie, Towarzyszu i Współdziałaczu w Świętej sprawie, Ty Mistrzu! światły, znający bliżej wyroki Pana dla ziemi, po dwudziestoletnich cierpieniach, z pozwolenia wyższego w tej chwili podzielający naszą radość, naszą Biesiadę w duchu, przyjm w tej chwili uroczyste zapewnienie nasze i ukój trawiące Ciebie, O cieniu drogi, frasunki: że dołożym wszelkiego wysilenia, aby stać się powolnymi na Twoje natchnienia, na twój kierunek, jaki bliższy Boga, podług woli Boskiej zakreślać będziesz. Za radość pokoj i zbawienie Ducha Twojego.“

„*Trzeci Toast.*“ (Na cześć Mickiewicz) „Za pomyślnośc, Błogosławieństwo i zdrowie miłego nam brata, co z łaski i przywileju Boskiego w kręg świętej służby wstępując, uweselił ducha naszego, serce nasze rozradował. Niech żyje... niech idzie w pokoju i siłę, prowadzony Wszechmocną prawicą po Świętej drodze wielkiego przeznaczdnia swojego.“

Przy drugiej edycji Biesiady, co do zasad w niczem nie odmiennej, znajduje się na końcu modlitwa według motywów: modlitwy Pańskiej, z następującem zakończeniem:

„...A Wy o wielkie duchy urzędy słowa Bożego w królestwie Ojca czyniące dla nas! Izraele! Ojce! Bracia! co nad człowiekiem na ziemi czuwacie! Przyjmcie korne dzięki nasze za to uczestnictwo wasze w tej sług organów waszych na ziemi biesiadzie, ku zasiłkowi ich ducha na wielkie sprawy Boże — Amen.“

Cały elaborat „Biesiady“ w ogóle sam przez się, usuwa się najzupełniej z pod analizy naukowej, czy to filozoficznej, czy teologicznej i gdyby jeno w książce objawił się drukowany, krytyka byłaby go pominęła, jako niedorzeczność. Należy on do rzędu podobnych sobie zjawisk, jakie podówczas marzycielstwo religijne wywołało we Francji. Taki Glouton podpisujący się: *Christ du second avènement*, nadaje się bardzo do jednego szeregu z Towiańskim, jak również Albert, przyjaciel Towiańskiego — autor wielu prorockich książek, ukazujący się na jarmarku w infule biskupiej i prorokiem ogłaszający się ludowi. Do nich też należy Pierre Michel, marzycielski reformator, który w gronie swych uczniów, liczył nawet osoby znaczniejszego w świecie położenia.

Wpływy atoli, jakie to całe bałamuctwo Towiańskiego na umysły wywarło, a przedewszystkiem genjalne interpretacje tego wszystkiego, przez Mickiewicza rozwijane, czynią „Biesiadę“ przedmiotem dyskussji.

Upatrywano w „Biesiadzie“ dziwną mięszaninę filozfji platońskiej z pojęciami z Apokalipsy, reminiscencji mitologji sławiańskiej o czarnym i białym Bogu z kabałą żydowską, wygórowanego mistycyzmu religijnego, z fatalizmem stoików, messjanizmu Wrońskiego i wieszczeń poetów naszych, z kosmopolitycznym socjalizmem, zasad republikańskich i cezaryzmu napoleońskiego. Obok tego. dopatrzyby się tam nawet można i pewnych reprodukcyj z alkoranu.*) Z tem wszystkiem zdaje nam się, że Towiański nie zapożyczał się ani u Platona, ani w Apokalipsie, ani też tak głęboko pojmował kwestje socjalno - polityczne. Gdyby był Towiański robił prawdziwe studja nad tem wszystkiem, gdyby był z świadomością chciał uczynić systematyczną z tych rzeczy kombinację „Biesiada“ jego nie byłaby tak bladą, mglistą, niedorzeczną. Mógł był sobie czytać Platona, alkoran, Apokalipsę, kabalistyczne księgi i t. d. ale nie ulega wątpliwości, że chociaż może pod ich wpływem pozostawał, ani nie zrozumiał tych rzeczy, ani z nich w biesiadzie umiejętnego nie zrobił użytku.

Sądzono też ogólnie, że doktryna ta odbiega w zupełności od chrystjanizmu, a nawet spycha go na drugorzędne stanowisko w obec siebie, gdyż Towiański ma dopiero chrystjanizm udoskonalić, poprawiać, jak Chrystus poprawiał stary zakon. Z tego więc powodu zauważano, że skoro Chrystusowe dzieło Towiański poprawiać myśli, tem samem wyżej od Chrystusa się stawia. Nie możemy się godzić na to ze wszystkiem i usprawiedliwimy się później z zapatrywań naszych; tymczasem atoli przyznać musimy, że towianizm odbiera człowiekowi najważniejsze znamię, człowieczeństwa: wolną wolę i samowiedzę, samodzielność rozumu — skoro go czyni zawisłym od czarnych lub jasnych duchów, skoro go w ich posłuszne przeobraża narzędzie. Duchy jasne i ciemne walczą z sobą bez udziału człowieka — a kolumny ich panują na globie, lub ustępują z niego, za wolą wysłanników Bożych, czyli człowiek zupełnie biernym w obec złego i dobrego pozostaje, a siła nadziemska, lub rzuca go w objęcia złego, albo z nich wyciąga. Ta bierność przez doktrynę naznaczona człowiekowi czyni ją anticywilizacyjną bo wyklucza możliwość postępu, rozwoju, uspołeczniania się człowieczeństwa; spycha ludność do bezwładności, odbiera jej wszelką doskonalenia się potrzebę, a skupiając wszelkie posłannictwo, wszelkie przeznaczenie działania w osoby owych siedmiu wysłanników Bożych, chcąc być messjaniczną, staje w sprzeczności z messjanizmem owym filizoficznym i poetycznym, o którym mówiliśmy wyżej. I filozofja i poezja messjaniczna: narody, ludzkość całą do takich powoływa akcji, na takie zwoływa stanowiska, przez któreby i na których zdolną była wytworzyć się nowa wieków idea, przez które to akcje dałoby się wejść na nowe tory historyczne, a z których to stanowisk możnaby owe drogi dopatrzyć i zająć. Towianizm jakeśmy widzieli, każe modlitwą rozpalać ducha do „stanu ognia gwiazd“ i biernie potem wyczekiwać „wielkich wydarzeń,“ które jasne duchy, bez przyczynienia się człowieka sprowadzą.

*) W koranie znajduje się *surata* czyli rozdział noszący tytuł: pułki, z czego może powziął Towiański rzecz o kolumnach złych i dobrych duchów. Na Litwie miał wszelką sposobność, zapoznania się z Koranem za pośrednictwem Tatarów litewskich,

„Filozoficznej, rozumnej myśli żadnej nie ma w Biesiadzie... Są to wyobrażenia tak mistyczno-płaskie, żeby się niemi o 44 wieki (bo ta liczba jest mistyczna) wstecz cofnąć trzeba, aby znaleść ludzi, coby rozum swój pod nie poddali.*)“

Mimo że mu sprzeczność nauki jego z chrystjanizmem wykazywano, nie przyznawał się Towiański do odstępstwa religijnego, przeciwnie: uważał naukę swoją za najpiękniejszy kwiat kościoła. Gdy mu zarzucano, że podobno przez lat dwadzieścia nie spowiadał się wcale, tłumaczył się nie obojętnością względem tego sakramentu, ale brakiem odpowiedniego mu rozumem spowiednika na Litwie, i w Paryżu też — jak już wiemy — wyspowiadał się wraz z Mickiewiczem. Zachowywał też wszystkie formy, obrzędy, całą symbolikę katolicyzmu. „Wątpię, aby Towiański teraz stawił się na rozmowę, bo wielki post samotnie odbywa, i ze mną rzadko i krótko się widuje“ — donosi Mickiewicz ks. Jałowickiemu **)

Na stosunek towiańszczyzny do katolicyzmu i w ogóle na charakter doktryny, nie małe rzuca światło list Mickiewicza z 28 lipca 1848 do Seweryna Goszczyńskiego pisany.***) Umieszczamy co w całości:

„Nasze działanie jest religijno-polityczne; nasz ton jest Chrystusowo-Napoleoński.****) Złe czycha na to, żeby te tony rozszczepić i pozwoliłoby nam politycznie wzmódz się, byleby nas w oczach miljonów za odszczepieńców udać. Błogosławieństwo Papieża jedność konieczną dwóch tonów uzna. My nie jesteśmy gałęzią kościoła, ale z pnia jego w górę, tąż samą rdzenią rośniemy. Kościoł potępiając dotychczas wszystkich odszczepieńców działał zgodnie z myślą Pańską.“

„Mąż też nie przyszedł, aby rozwiązywał zakon, ale aby go spełnił w danym na epokę zakresie. My nie jesteśmy zatoką ani odnogą, ale środkowym nurtem życia kościoła. Napoleon i tem chybił że nie przeszedł przez papieżą, ale chciał iść mimo papieża. Papież był na jego drodze. Nasza sprawa jak jest najsilniejszą w ruchu tak będzie najlegalniejszą w drodze swego postępu i tem różni się od wszystkich herezji, rewolucji. Żadna władza nic nam nie będzie mogła zarzucić w duchu, bo każdą powołamy w miłości. Twój Adam.“

Z tego wszystkiego widzimy, że towiańszczyzna nie uważała się wcale za negację chrześcijaństwa i zdaje nam się, że świadomie nią nie była. Jeżeli weźmiemy na uwagę prelekcje Mickiewicza, w których charakteryzuje stosunki kościelne, zrozumiemy o co pod względem religijnym towiańszyznie chodziło. Towiański uważał się zapewne za reformatora w ten sam sposób, w jaki pojmował się Luter, Kalwin i t. d. a ci nie dążyli przecież do obalenia i przeinaczenia chrystjanizmu, ale do nadania mu według swoich mniemań, form odpowiedniejszych, niż mu je nadał katolicyzm. Przeczyli katolicyzmowi, nie chrześcijaństwu, Rzymowi, nie Chrystusowi. Ztąd też zdaje nam się; że towiańszczyzna nie chciała być negacją religji chrześcijańskich jeno teologję przeinaczyć zamierzała. Zatem nie od chrystjanizmu odbiegła towiańszczyzna, jeno od istniejących form jego t. j. od katolicyzmu, luteranizmu, kalwinizmu itd. a jak każda z tych form uważa się za najdoskonalszą i jedynie prawdziwie chrześcijańską, taką samą dążność miała i towiańszczyzna, i tytułowała się też: kwiatem kościoła. Powiada też Mickiewicz że nie chodzi towiańszczyznie „o rewolucje religijne, ale o nowy wybuch Ducha chrześcijańskiego“*) który za przygasły już uważano.

Gdy Towiański przebywał w Brukselli, odwidził go tam ks. Piotr Semeneńko, około świąt Bożego Narodzenia 1842, celem wykazania mu herezji i nawrócenia. Spotkanie się tego teologa z Towiańskim na charakter ostatniego, ciekawe rzuca światło. Towiański chcąc rozbroić przeciwnika, używa na wstępie pochlebstw, nawet bardzo jałowych i zużytych. Nazywa ks. Semeneńkę „duchem królewskim.**)“ przyznaje mu majestatyczną postawę i zapewnia, że godzina z nim przebyta, będzie dlań wiekopomną. Wzywa też ks. S. do współdziałania w „Sprawie“ aby podzielił z nim ciężar posłannictwa, gdyż „Bóg ci rozkazuje, abyś szedł za mną.“ Widząc zupełną bezskuteczność namowy oświadcza, że się nie pogodzą, bo teolog „z ziemią przybywa“ a Towiański niebo ma w sobie. Niezrażony tem ks. Semeneńko, jasnemi argumentami stara się udowodnić herezję względem katolicyzmu i płytkość „Biesiady,“ a zarazem całą potęgą swej wymowy przedstawia Towiańskiemu nieszczęścia, jakie na biedną sprowadził emigrację, wykazuje mu ogrom odpowiedzialności jaką przyjął na siebie za te bałamuctwa w obec Boga i narodu i zaklina go, aby zaniechał dalszych robót, opamiętał się i na zimno, z rozwagą całą rzecz swoją rozpatrzywszy uznał w niej błąd chwilowy. Towiański wymową księdza wzruszony, zalewa się łzami, całuje go w rękę i prosi, aby modlił się za nim ***).

(C. d. n.)

*) Karol Kibelt. Samowładztwo rozumu i objawy filiozofji słowiańskiej. Poznań 1874. str. 246.

**) W liście z 25 lutego 1842. Koresp. A. Mick. T. I str. 185.

***) Kor. A. Mick. T. I. str. 200.

****) W lekcji XXXIII kursu II (1. lipca 1842) rozwija Mickiewicz znaczeuie tonu i powiada, że duch jest treścią słowa a ton nadaje mu ciało, życie. Rozumie on pod tonem, pewien stopień siły wewnętrznej człowieka objawiającej się w sposobie wymawiania, w dźwięku i nacisku głosu. Jakość tonu, zależy od wielkości i kierunku siły wewnętrznej człowieka. W tonie objawia się charakter osobisty i narodowy — także religijny. (Literatura słowiańska Mickiewicza Poznań 1865. T. II str. 372 — 5.)

*) Literat. słow. A. Mick Poznań 1865 T. IV str. 78 (kurs 4. lekcji 7)

) W ten sam sposób przemawiał i do adeptów, zowiąc ich duchami królewskiemi, jak o tem pisze Kołosowski, (Moje stosunki z Towiańskim i Towiańczykami przez * Paryż 1856.)

***) Towiański et sa doctrine jugés par l'enseignement de l'Eglise, par Pierre Semenenko pritre, docteur en Thèologie. Paris 1850.

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

(Ciąg dalszy.)

W Mandelay pewien Ormianin miał słonia samicę, która zwykle przechadzała się w zagrodzeniu przytykającem do domu. Samica miała małe i to pocieszne stworzenie, sprytne a figlarne zwykle bawiło się z dziećmi. Czasem zapędziwszy się za niemi wchodził do kuchni położonej na dole. Matka przybiegała natychmiast, ale nie mogąc się zmieścić we drzwi czekała u progu. Jeżeli te odwidziny nie wywoływały żadnych skarg służby ani krzyków dzieci, za powrotem nie okazywała mu niezadowolenia, lecz gdy zmykał ukradkiem potłukszy naczynie, lub unosząc wiązkę jarzyn, u progu czekały go dobrze wymierzone razy od matki, która zmuszała małego złodzieja zwrócić porwany przedmiot.

Wprost Bangun, naprzeciwko brzegu Irawady, jest plac przeznaczony na warstaty marynarskie i reperacje statków parowych służby pocztowej i administracyjnej. Dnia jednego wybrałem się w chęci zwidzenia zakładu i kiedy stanąłem na przeciwnym lądzie, ujrzałem słonia samicę z małym swoim potomkiem jak użytkując wolne chwile w których została wypuszczona z maneżu, podczas gdy robotnicy spoczywali po skromnym posiłku, udawała się na brzeg rzeki w zamiarze użycia kąpieli i udzielenia lekcji pływania swojemu małemu. Zatrzymałem się przypatrując jej czynnościom. Niebawem weszła w wodę i pływała dość długo, w którym to czasie mały słoń przypatrywał się jej z brzegu. Wyszedłszy z wody zmusiła malca by szedł za nią na najgłębszą wodę i gdzie prąd najsilniejszy. Mały mógł mieć najwięcej cztery lata, z wielkiem wysileniem walczył z wodą, matka zaś jak nauczyciel podtrzymujący swego elewa pod brodę podpierała go trąbą, pomagając zwyciężyć przeszkody i po mału skierowała do brzegu. Wysadziwszy go na ląd dozwoliła odetchnąć i wypocząć chwilkę, poczem chciała powtórzyć ćwiczenie. Małemu nie do smaku była ta lekcja to też ośmielił się krnąbnie opierać. Bez długiego namysłu samica przemówiła ostro częstując go silnie wymierzonemi uderzeniami trąby; za piątą plagą mały słoń był już w wodzie.

Matki w stanie dzikim często pozwalają się ssać bez względu które z nowonarodzonych tego zapragnie. W tym czynie niektórzy naturaliści chcieli dowieść obojętności słonia dla własnego potomstwa, gdy tymczasem jest on wynikiem przyczyn czysto fizycznych. Słonie zaraz po urodzeniu mogą się żywić roślinami, ztąd niektóre z nich przez kaprys, wybryk gustu lub jaką inną przyczynę odmawiają pokarmu jaki im daje matka. Tak nagłe przerwanie w karmieniu powoduje niekiedy u samic silne cierpienia; dozwalając się ssać tym co zapotrzebują mleka, ulżywają sobie i robią jednocześnie przyjemność szukającym tego pokarmu.

Przyznając słoniowi rzadką w zwierzętach roztropność nie chcę bynajmniej zaliczyć się do jego zwolenników. Przymioty fizyczne któremi natura go obdarzyła, niezwykła inteligencja jaką dresura w nim obudza, wywoływały mój podziw, lecz nigdy sympatji. Wielka ilość pożywienia którego potrzebuje, pięć razy tyle co koń — jego chód nieprzyjemny sprawiający kołysanie dolegliwe, powierzchowność odrażająca, odór wywołujący mdłości, niebezpieczeństwo jakie człowiekowi grozi gdy słoń rozkaprysi się w chwili złego humoru, w końcu rany i kalectwa zmuszające ludzi do poniżających koło niego starań, nie sąż dostatecznemi powodami by mało cenić tego kolosa?

Dodajmy jeszcze wyciąg statystyczny zrobiony w latach od 1868 do 1870 — dla sprawdzenia ilości wypadków śmierci w Indjach angielskich przez ukąszenia jadowitych gadów lub napady dzikich zwierząt, a otrzymamy cyfry następujące: 38.218 ludzi umarło w przeciągu 3 lat, z czego 25,664 z ukąszenia jadowitych gadów, 12.554 pożartych lub zabitych przez dzi-

kie bestje, a zatem blisko 4.140 ludzi w przeciągu roku. W tem zniszczeniu słoń przyczynia się w trzeciej części, czyli 1.000 osób pada rocznie ofiarą wściekłości tego miłego potworu. Cenne przymioty do jego apoteozy!

Anglicy dla zaspokojenia potrzeb armji i by mieć na każde zawołanie dostateczną liczbę zwierząt jucznych i pociągowych uorganizowali sport na słonie i polują, poskramiają, ujeżdżają i wychowują je na sposób azjatycki.

Indje podzielili na okręgi, w których polują i prowadzą chów do czego ustanowiona jest osobna służba, dozorowana przez europejskich oficerów, mających pod sobą podrzędniejszych wykonawców. Wszyscy pobierają stałą pensję z emeryturą; dla zdatnych pogromców dla najzmyślniejszych tropicieli, a szczególnie dla nieustraszonych myśliwych, co dali dowody zręczności w krytycznych chwilach i odwagi w niebezpieczeństwie, jest osobna nagroda. Wdowom i dzieciom pozostałym po urzędnikach lub dozorcach zabitych w służbie rządowej wyznaczona jest pensja. Inspektorowie i jeneralny dyrektor trzymają w swym ręku ogólny zarząd; ten ostatni jest zwykle wyższym oficerem armji, majorem lub pułkownikiem z tytułem super-Intendant. Komplet tej służby musi być doskonale obznajomiony nie tylko ze sposobami poskramiania zwierza, jego dresurą i chowem, lecz nie mniej z położeniem topograficznem i geologicznem okręgu w którym jest czynny, miejsc gdzie się znajdują ukryte stacje wśród kniei, wreszcie musi znać doskonale wszystkie wybiegi słonia i jego zwyczaje. Wielkich umiejętności nie żądają od takiego ajenta; byle tylko mógł wyraźnie zredagować raport i na tem koniec; ale za to wymagają aby umiał wskazać kierunek jakim poszło stado, bez zmylenia i pokrzyżowania tropu; by rozpoznał z szerokości i głębokości śladów lub innych wskazówek czy znaki stratowań zrobił młody słoń, czy dorosły lub całkiem stary; ślady czy są świeże czy dawne, i jak liczne jest stado; ilu mniej więcej posiada uzbrojonych w kły; czy kolumna idzie jednym szlakiem, czy się dzieli na partje; ścieżka czy jest zdeptana przez wałęsających się czy przez całą gromadę; wreszcie czy pewne schronienia są przegonem czy też miejscem spoczynku. Tak samo z krzyku trwogi, pospolicie zwanym zatrąbieniem, muszą ci ludzie rozpoznawać wiek i rodzaj ściganego zwierza. Do tego dodać jeszcze trzeba, tysiączne manewry podczas walki ze słońmi, zarzucanie arkanu, pogoń za uciekającym, uchronienie się od ataku, wymijanie ciosów, rozciągnienie sznurów dla powalenia zwierza i tym podobne sztuki, które wcale nie są tak łatwe jak by się to zdawało.

Kiedy na słonie poluje się jedynie dla kości, wtedy myśliwi czatują na okazy mające najpiękniejsze obrony i starają się je ubić. Ludzie nie mający na swoje rozporządzenie domowych słoni, uciekają się zwykle do sposobów polowania którémi są: podejście, zasadzka, lub branie w doły.

Podejście polega na tem, by się jak najbliżej podsunąć do słonia nie będąc widzianym; sposób ten jest niezmiernie niebezpiecznym. Kule wybuchające są bardzo przydatne do tych polowań, ponieważ z całą pewnością mierzyć można w piersi lub tułub, z tem zastrzeżeniem, by strzelający stał wprost miejsca w które mierzy, ponieważ kula może bardzo łatwo ześliznąć się po twardej skórze zwierza. Z innej broni trzeba bardzo dużo prochu i ołowiu by zabić słonia. Kość czaszki jest nadzwyczajnie twarda, członki z powodu swojej grubości nie łatwo się druzgocą, a skóra przedstawia opór i elastyczność nie do uwierzenia.

Polowania na zasadzkę w otwartem polu wcale nie pochwalam, albowiem jest nadto niebezpieczne. Mniej się narażamy napadając na stado pasące się na błoniu, lub w lesie, niż czekając na nie gdy przechodzi. Niektórzy myśliwi inaczej jeszcze pojmują zasadzkę. Wybrawszy sobie w pobliżu szlaków uczęszczanych przez słonie, drzewo dość silne by się oparło wszelkim usiłowaniom obalenia, każą sobie budować rodzaj platformy, a raczej budki nad pierwszemi gałęźmi, zwanej *mukhan*, dość obszernej na pomieszczenie całego arsenału broni amunicji i żywności. Ściany i podłoga tej budowy opatrzone są otworami żeby strzelający mógł w różne kierunki mierzyć; przyczem musi być przestrzegana wysokość na której ustawiony jest *mukhan*; zanadto w górze strzały byłyby bezskuteczne; za nisko, siedzący mógłby być narażony na dosięgnięcie przez słonia trąbą. Wsparłszy się przedniemi nogami o drzewo, słoń dosięga często wysokości więcej jak 20 stóp. Gdy myśliwy usadowi się w budynku, obławnicy napędzają mu zwierzynę, i powracają do domu pozostawiając go własnym rozpamiętywaniom.

W czasie mego pobytu w Kalkucie, trzech gentlemenów, pasjonowanych myśliwych i miłośników kontemplacji, przedsięwzięło podróż do błoń opartych o ostatnie podnóża Himalajów, w celu oddania się tej samotnej rozrywce. Znalazłszy się na miejscu każdy, obrał sobie pewien obręb i kazał zbudować *mukhan*. Jednemu nieposzczęściło się. Czuwał dwa dni i dwie nocy, ponieważ stada dzikich słoni często i wśród zmroku podróżują — nareszcie po długiem oczekiwaniu słoń uzbrojony w okrutne kły pasąc się przyszedł nieroztropnie do budki, strzał padł i kolos legł na miejscu. Uradowany myśliwy w jednej chwili spuściwszy się ze swego schronienia pobiegł do najbliższej wsi aby sprowadzić sobie ludzi do oporządzenia trupa. Mimo pospiechu minęło pół dnia. Kilkunastu mieszkańców co tchu zbiera się i spieszy na miejsce.... O fatalność! kły zostały wyrznięte.

Drugiemu nie więcej los sprzyjał. Słonie obstąpiły go i rozpoczęły formalne oblężenie i mieszkańcy długo nie widząc powracającego wyszli na jego spotkanie. Nie mogli się dostać, stado zaległo w koło drzewo z gentlemanem, i dla rozpędzenia obozujących nieprzyjaciół musiano podpalić krzaki. Nasz anglik o mało się nie upiekł. Położył wprawdzie trupem kilka słoni ale w końcu zabrakło mu amunicji i żywności, skutkiem czego musiał z założonemi rękoma przez czterdzieści ośm godzin, za nim go oswobodzili, bawić się widokiem spacerujących swoich nieprzyjaciół. Nie myślę by drugi raz zechciał doświadczać tej rozrywki.

Trzeci zamknięty w gołębniku przez cały tydzień, przykładając do oczów to lornetkę to perspektywę, nie ujrzał nawet koniuszka trąby słonia. Anglicy znajdują przyjemność w tego rodzaju jednostajnych zajęciach, w kontemplacji godnej ascety lub derwisza. Co do mnie przyznam się nie miałem najmniejszej ochoty kosztować kiedykolwiek tej roskoszy.

(C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tajemnica.

ROZDZIAŁ XIX.

(Ciąg dalszy.)

(Opowiadanie Cyrusa Smitha o dokonanej wycieczce. — Przyspieszają roboty około budowy okrętu. — Ostatnie odwidziny w zagrodzie. — Walka ognia z wodą. — Co jeszcze pozostaje na powierzchni wyspy. — Decydują się spuścić statek na morze. — Noc z 8. na 9. Marca.)

Nazajutrz rano, 8. Stycznia, po przepędzeniu całego dnia i nocy w zagrodzie, i opatrzywszy wszystko jak należało, Cyrus Smith i Ayrton powrócili do Granitowego Pałacu.

Natychmiast po przybyciu inżynier zgromadził towarzystwo całe i oznajmił im, że wyspie Lincolna zagraża niezmierne niebezpieczeństwo, którego zakląć żadna potęga ludzka nie zdoła.

— Moi przyjaciele — dodał głosem zdradzającym gwałtowne wzruszenie — wyspa Lincolna nie należy do takich, które trwać mają tak długo, jak sama kula ziemska. Skazaną jest ona później czy prędzej na zniszczenie, którego przyczyna gnieździ się w niej samej i od którego nic jej uratować nie może.

Osadnicy popatrzyli po sobie, a potem wszyscy zwrócili oczy na inżyniera. Nie mogli go zrozumieć.

— Wytłumacz się, Cyrusie! — zawołał Gedeon Spilett.

— Zaraz się wytłumaczę, albo raczej poprzestanę tylko na powtórzeniu słów, które w ciągu owych kilku chwil rozmowy ze mną na uboczu wypowiedział kapitan Nemo.

— Kapitan Nemo! — wykrzyknęli osadnicy.

— Tak — i to była ostatnia przysługa, którą nam chciał oddać przed śmiercią.

— Otatnia przysługa! — zawołał Pencroff. — Ostatnia przysługa! Przekonacie się, że chociaż trup, nie jednę jeszcze podobną nam wyrządzi!

— Ale cóż takiego powiedział ci wtedy kapitan Nemo? — spytał korespondent.

— Dowiecie się zaraz moi przyjaciele — odrzekł korespondent. — Wyspa Lincolna nie znajduje się w tych samych warunkach, co inne na Oceanie Spokojnym. Pewien układ jej tylko właściwy, a który mi dał poznać kapitan Nemo, musi sprowadzić prędzej lub później rozsypanie się jej rusztowania podmorskiego.

— Rozsypać się ma! wyspa Lincolna! Et, cóż znowu! — zawołał Pencroff, nie mogąc się powstrzymać od wzruszenia ramionami, mimo całego respektu dla osoby Cyrusa Smitha.

— Posłuchaj mnie, Pencroffie — odparł na to inżynier. — Oto co skonstatował kapitan Nemo i co ja sam sprawdziłem podczas oględzin odbytych wczoraj w krypcie Dakkara. Krypta ta przedłuża się pod wyspą aż do wulkanu i od komina centralnego oddzieloną jest tylko ścianą, która zamyka jej wezgłowie. A ściana popstrzona jest cała pęknięciami i szczelinami, przez które przedzierają się już gazy siarczane, wyrobione we wnętrzu wulkanu.

— Cóż więc z tego — spytał Pencroff, widocznie czyniąc potężne usiłowania, aby zro-

zumieć, czego dowodziło gwałtowne sfałdowanie czoła.

— Otóż rozpoznałem, że owe pęknięcia zwiększają się pod naciskiem wewnętrznym, że mur bazaltowy rozstępuje się powoli i że w mniej więcej krótkim czasie przedrą się przezeń wody morza, napełniające obecnie pieczarę.

— Brawo! — zawołał Pencroff, usiłując raz jeszcze wszystko w żart obrócić. — A więc morze zagasi wulkan, i już po całym ambarasie!

— O tak, i już po wszystkiem! — odrzekł Cyrus Smith. — W dniu, gdy morze przedrze się przez ową ścianę i wpadnie przez komin środkowy aż do wnętrzności wyspy, kędy kipią materje wybuchające — w dniu tym — Pencroffie, cała wyspa Lincolna pójdzie w powietrze, jakby poszła w powietrze Sycylja, gdyby Morze Śródziemne dostało się w głąb Etny!

Osadnicy nie odrzekli ani słowa na to tak silnie twierdzące zdanie inżyniera. Pojęli naraz, jakie im niebezpieczeństwo zagrażało.

A zaznaczyć należy, że Cyrus Smith nie przesadzał w tej mierze ani troszeczkę. Wielu już ludziom przychodziło do głowy, że kto wie, czyby nie można było pogasić wulkany, które wszystkie prawie wznoszą się na wybrzeżach mórz i jezior — przepuściwszy w ich wnętrze wody. Ale tego nie wiedzieli, że tym sposobem naraziliby większą część globu na wysadzenie w powietrze, jakoby kocioł zbytnie przeładowany parą. Woda, wpadłszy w zamkniętą przestrzeń, której temperatura wynosić może tysiące stopni, zamieniłaby się na w parę z tak nagłą energją, iż żadna powłoka oprzećby się jej nie była w stanie.

Nie podlegało tedy wątpieniu, że wyspa zagrożona rozsypaniem się przerażającem a bliskiem, ma tylko tyle jeszcze trwania, co i krypta Dakkara. Nie było to już nawet kwestją miesięcy ani tygodni, ale dni, kto wie, godzin może.

Pierwszem uczuciem osadników była głęboka boleść. Nie pomyśleli nawet o niebezpieczeństwie, które wprost im samym zagrażało, — ale o zniszczeniu tego gruntu, kędy znaleźli schronienie, — tej wyspy, którą użyźnili, tej wyspy którą ukochali, którą chcieli kiedyś tak kwitnącą uczynić! Tyle trudów poniesionych bez pożytku, tyle prac straconych!

Pencroff nie mógł powstrzymać grubej łzy, która mu się stoczyła po twarzy, bynajmniej przez niego nie ukrywanej.

Rozmowa pociągnęła się jeszcze przez czas niejaki. Okoliczności korzystne, które osadnicy mogli jeszcze wyzyskać, poddano pod dyskusję. Koniec końcem jednak, uznano, że nie ma godziny do stracenia i że budowę i urządzenie wewnętrzne okrętu popchnąć należy z cudownym prawie pośpiechem, w tem bowiem, mieściła się obecnie jedyna nadzieja ocalenia dla mieszkańców wyspy Lincolna!

Wszystkie więc podniosły się ramiona. A zresztą na cóżby się przydało odtąd żąć, zbierać, polować, zwiększać zapasy w Granitowym Pałacu? To co zawierały jeszcze skład i spiżarnia, mogło wystarczyć nad miarę prawie, do zaopatrzenia okrętu we wszystkie potrzeby, chociażby na najdłuższą podróż! Chodziło więc tylko o to jedynie, aby mieć ów okręt do rozporządzenia, przed spełnieniem się nieuniknionej katastrofy.

Zabrano się więc na nowo do pracy z gorączkowym zapałem. Około 23. Stycznia okręt był już w trzech częściach ukończony. Dotychczas nie objawiła się żadna zmiana w szczycie wulkanu. Wciąż widać było nad nim wyziewy, dymy pomięszane z płomieniami i rozpalone kamienie wypryskujące z krateru. Ale w ciągu nocy z 23. na 24., nacisk law, które doszły już do poziomu pierwszego piętra wulkanu, zerwał stożek, tworzący kapelusz krateru. Straszliwy trzask dał się słyszeć. Osadnicy myśleli z początku, że wyspa się rozsypuje. Wypadli wszyscy z Pałacu Granitowego.

Było około drugiej nad ranem.

Niebo stało w ogniu. Wyższy stożek, masa kamienia wysoka na tysiąc stóp, a ważąca miljardy funtów, strącony został na grunt wyspy, która się zatrzęsła do głębi pod tym ciosem. Na szczęście stożek ten miał kierunek pochyły ku północy, i upadł na płaszczyznę piasków i dziurkowatych kamieni, rozciągającą się pomiędzy wulkanem a morzem. Krater, na ścież otwarty w tej chwili, rzucał ku niebu tak natężone światło, że przez samo tylko zjawisko odbicia, atmosfera zdawała się rozpaloną do czerwoności. Jednocześnie zaś potok law wzbierając u nowego szczytu staczał się w długich kaskadach, jak woda przelewająca się ze zbyt pełnego naczynia i tysiąc z nich ogni pełzło po stoku wulkanu.

— Do zagrody! do zagrody! — zawołał Ayrton.

W istocie, ku zagrodzie to kierowały się lawy, w skutek utworzenia się nowego krateru, a więc i żyznym częściom wyspy, źródłom Czerwonego potoku, lasom sakamarowym zagrażało natychmiastowe zniszczenie.

Na okrzyk Ayrtona osadnicy rzucili się ku stajence onaggasów. Zaprzężono je do wózka. Wszyscy mieli jednę tylko myśl! Biedz do zagrody i uwolnić zamknięte w niej zwierzęta.

Przed trzecią rano jeszcze przybyli do zagrody. Straszliwe ryki wskazywały dostatecznie, jaka trwoga przejmowała barany dzikie i kozy. Już bowiem potok roztopionych materji i płynnych minerałów spływał ze ściany góry na łąkę i pożerał z tej strony palisadę. Ayrton otworzył gwałtownie bramę, a wówczas zwierzęta, obłąkane trwogą, rozsypały się na wszystkie strony.

W godzinę potem kipiąca lawa napełniała zagrodę, ulatniała wodę z małego strumyka, który ją przerzynał, zapalała dom mieszkalny, nakształt pochodni i pożerała wszystko aż do ostatniego kołka z ostrokołowego ogrodzenia. Z zagrody nie pozostało ani śladu!

Osadnicy chcieli walczyć przeciw temu wtargnięciu żywiołu, próbowali opierać się, ale było to rzeczą bezużyteczną i szaloną, człowiek bowiem bezsilny wobec podobnych wielkich kataklizmów.

Za nadejściem dnia 24. Czerwca, Cyrus Smith i towarzysze, przed powrotem jeszcze do Granitowego Pałacu, chcieli rozpoznać ściśle kierunek, którym się miał polać ten potop law. Ogólna pochyłość gruntu spływała od góry Franklina ku wschodniemu wybrzeżu — i należało się obawiać, ażeby pomimo gęstwy lasów sakamarowych, potop nie rozciągnął się aż do Wielkiej Terasy.

— Jezioro nas zasłoni — ozwał się Gedeon Spilett.

— I ja się tego spodziewam — odrzekł Cyrus Smith za całą odpowiedź.

Osadnicy chcieli się posunąć aż do płaszczyzny, na którą runął stożek wyspy góry Franklina, ale lawy już tamowały im drogę. Spływały one z jednej strony doliną Czerwonego potoku, z drugiej strony doliną potoku katarakty, zamieniając przy przejściu w parę te wody.

Nie było najmniejszej możności przedostać się przez ten potok — przeciwnie trzeba było z konieczności cofnąć się przed nim. Wulkan, z utraconym szczytem, był w tej chwili nie do poznania. Rodzaj płaskiej stolnicy stanowił obecnie jego szczyt, zastępując dawny krater. Dwie zapadliny, utworzone na krańcach jego południowym i wschodnim, wylewały bez przerwy lawę, tworząc tym sposobem dwa oddzielne prądy. Po nad nowym kraterem, chmura dymu i popiołów mięszała się z wyziewami powietrza nagromadzonemi nad wyspą. Potężne uderzenia piorunu rozgrzmiewały i spływały się z głuchym pomrukiem góry. Z paszczy wulkanu wylatywały rozpalone skaliska, a wzniosłszy się na więcej niż tysiąc stóp, pękały w chmurach, rozpryskując się jak strzał kartaczowy. Niebo odpowiadało błyskawicami wulkanicznemu wybuchowi.

Około siódmej rano, pozycja osadników stała się niepodobną do zniesienia. To też cofnęli się na kraj lasu sakamarowego. Nie tylko pociski poczęły sypać się w koło nich, ale i lawy, przelewając się z koryta Czerwonego potoku, groziły im odcięciem drogi do zagrody. Pierwsze szeregi drzew zajęły się płomieniem, a sok ich, nagle zamieniony w parę, rozsadzał je jak pukawki — podczas gdy inne znowu mniej wilgotne pozostawały nienaruszone w pośrodku powodzi ognistej.

Wreszcie osadnicy ruszyli znów drogą od zagrody. Szli powoli, cofając się niejako. Tymczasem w skutek pochyłości naturalnej gruntu, potok law gwałtownie spadał ku zachodowi i zaledwo spodnie warstwy cokolwieczek stwardniały, już nowe kipiące fale natychmiast pokrywały poprzednie.

Główny jednakże prąd od doliny Czerwonego potoku stawał się przedewszystkiem i z każdą chwilą groźniejszym. Cała ta część lasu stała w ogniu i olbrzymie kłęby dymu unosiły się nad drzewami, których pnie podgryzała lawa.

Osadnicy zatrzymali się w pobliżu jeziora, o pół mili od ujścia Czerwonego potoku. Tutaj się miała rozstrzygnąć dla nich kwestja śmierci lub życia.

Cyrus Smith zwykły do stawiania przed sobą jasno sytuacji ważnych, a przytem wiedząc, że mówi do ludzi zdolnych usłyszeć prawdę, bez względu jaka będzie, ozwał się w te słowa:

— Albo jezioro powstrzyma prąd lawy — a wówczas jedna część wyspy ocaloną zostanie od zupełnego zniszczenia, albo ten potok law zaleje lasy Zachodniej Ręki i ani jednej rośliny nie zostanie na całej powierzchni ziemi. Wówczas jedyną naszą perspektywą na tych ogołoconych skałach będzie śmierć, na którą wysadzenie wyspy w powietrze zbyt długo czekać nam nieda!

— A więc — zawołał Pencroff, zakładając ręce na krzyż i uderzając nogą w ziemię — nie ma co już robić około okrętu, nieprawdaż?

— Pencroffie — odrzekł Cyrus Smith — należy spełnić obowiązek aż do końca!

W tej chwili rzeka law, przebiwszy sobie przejście wśród tych pięknych drzew, które pożarła — doszła aż do granicy jeziora. Tu znajdowało się małe wzniesienie gruntu, które gdyby było troszkę tylko wyższe, kto wie, czyby nie wystarczyło do powstrzymania lawy.

— Do dzieła! — zawołał Cyrus Smith.

W mgnieniu oka wszyscy pojęli myśl inżyniera. Należało postawić tamę niejako temu potokowi i tym sposobem zmusić go do wlania się w jezioro.

Osadnicy rzucili się do warstatu. Wynieśli ztamtąd rydle, motyki, topory i za pomocą nasypów, oraz drzew ściętych, potrafili w kilka godzin wznieść tamę wysoką na stóp trzy, a na kilkaset kroków długą. Gdy skończyli, zdawało im się, że ledwo kilka minut pracowali!

A czas był skończyć! Materje płynne, jednocześnie prawie z chwilą ukończenia grobli, doszły do niższej części owego wzniesienia gruntu. Rzeka law wzdęła się jak prawdziwa rzeka w czasie największego przyboru, usiłująca wylać i zagroziła przesadzeniem jedynej przeszkody, nie dozwalającej jej wtargnąć i zająć całych lasów Zachodniej Ręki. Ale tama wystarczyła do powstrzymania ognistych nurtów i po kilku chwilach straszliwego zaiste wahania, cały potok stoczył się w jezioro kataraktą na dwadzieścia stóp wysoką.

Cóż to za widowisko było ta walka ognia z wodą. Jakież pióro zdołałoby opisać scenę tak pełną cudownej zgrozy — i jakiż pędzel ją oddać? Woda syczała ulatniając się przy zetknięciu z kipiącą lawą. Wyziewy, wznoszące się w powietrze, wirowały na niezmierzonej wyżynie, jak gdyby klapy ogromnego parowego kotła stanęły gdzieś nagle otworem. Jakkolwiek jednak znaczną była masa wody zawartej w jeziorze, musiała w końcu być pochłoniętą, ponieważ nie odnawiała się, gdy tymczasem potok law, zasilający się w niewyczerpanem źródle, toczył wciąż nowe fale roztopionych materyj.

Pierwsze lawy, które spadły w jezioro, zastygły natychmiast i skupiły się w wodzie, wystając jednak z niej. Po ich powierzchni przesunęły się nowe strumienie, które także skamieniały z kolei. ale już więcej posunęły się ku środkowi. Tym sposobem wytwarzała się powoli ławica, zagrażająca wypełnieniem jeziora, które nie mogło wylać, bo nadmiar jego wody wciąż uchodził w postaci wyziewów. Syki, szypienia i pryskania, rozdzierały powietrze ogłuszającym hałasem, a na ług zamienione i porwane wichrem wody, znowu w postaci deszczu spadały na morze. Ławica stężałych minerałów przedłużała się, prawdziwe bryły law gromadziły się jedne na drugich. Tam, gdzie rozciągały się niegdyś spokojne wody, obecnie widać było kupę dymiących skalisk, jak gdyby je ziemia w konwulsjach na wierzch wyrzuciła. Trzeba wystawić sobie owe wody wzburzone huraganem, a potem nagle stężone mrozem dwudziestostopniowym, ażeby mieć pojęcie, jak wyglądało jezioro w trzy godziny po wtargnięciu weń nieodpartego potoku.

Na ten raz woda miała uledz ogniowi.

Ta tylko okoliczność szczęśliwą była jeszcze dla osadników, że wylew lawy skierował się ku jeziorowi Granta. Zapewniało im to kilka dni bezpieczeństwa. Wielka Terasa, Pałac Granitowy i warstat na chwilę były zamknięte. Otóż tych kilku dni względnie swobodnych należało użyć na dokończenie budowy okrętu, obetkanie go i wylanie troskliwe smołą. Następnie spuścić go już można było na morze i szukać na nim schronienia, odkładając założenie masztów i ożaglowanie go na chwilę, gdy już spocznie w swoim żywiole. Przy obawie wysadzenia w powietrze, zagrażającego zniszczeniem całej wyspy, niepodobna już było pozostać na lądzie. Schronienie w Granitowym Pałacu, tak bezpieczne do tej pory, obecnie mogło lada chwila zwalić na mieszkańców granitowe mury swoje!

Przez sześć następnych dni, od 25. do 30. Stycznia, osadnicy pracowali nad okrętem o tyle, o ile to było w ludzkiej mocy. Spoczywali zaledwie kilka godzin, a blask płomieni wybuchających z krateru pozwalał im pozostawać przy robocie dniem i nocą. Wylew wulkaniczny trwał ciągle, chociaż z mniejszą obfitością. Szczęściem było to zmniejszenie wylewu, bo jezioro Granta przepełniło się już całkiem prawie i gdyby nowe lawy spłynęły na powierzchnię dawnych, musiałyby były przelać się na Wielką Terasę, a ztąd na wybrzeże.

Jeżeli jednak z tej strony wyspa była osłoniętą w części, nie tak dobrze się rzecz miała z jej wschodnią stroną.

Tam bowiem w istocie, drugi strumień law, toczący się doliną potoku katarakty, doliną szeroką i z brzegami niskimi po obu stronach potoku, nie znalazł żadnej przeszkody. Gorejący płyn potoczył się więc przez lasy Zachodniej Ręki. W tej porze roku, gdy żywice wysuszył skwar mocny, ogień objął w mgnieniu oka cały las i to w ten sposób, iż drzewa jednocześnie płonęły przy osadzie pnia i u najwyższych gałęzi, których powikłanie sprzyjało jeszcze rozszerzaniu się klęski. Owszem nawet zdawało się, że płomień u szczytu drzew rozprzestrzeniał się żywiej, aniżeli prąd law u ich podnóża.

I stało się wówczas, że zwierzęta opętane trwogą, dzikie i inne: jaguary, dziki, kabyjasy, opatrzone futrem czy pierzem, szukały schronienia w stronie Dziękczynnej i błota Tadornów, po za drogą wiodącą do Portu Balonowego. Ale osadnicy zbytnie byli zajęci swoją pracą, aby zwrócić uwagę nawet na najstraszliwsze zwierzęta. Zresztą oni sami opuścili Pałac Granitowy, nie chcieli nawet szukać ochrony w „Dymnikach,“ woląc obozować pod namiotem, w pobliżu ujścia Dziękczynnej.

(Dok. nast.)

Roskoszne chwile.

Kiedy mnie dzieckiem nieraz płaczącą
Matka do łona tuliła
Z miłością w sercu dla mnie gorącą —
Roskoszna chwila to była!

Kiedy mnie ojciec pieścił troskliwie,
I czułą głaskał mnie ręką,
Było mi wtedy tak rzewno, tkliwie,
Jak śpiewakowi z piosenką.

Gdy kwiaty kwitły, słońce świeciło
Ptaszki wesoło nuciły;
Poezją marzeń serce me biło,
Roskoszne chwile to były.

Gdy księżyc zeszedł, słowiczek nucił
Gwiazdy po niebie śledziłam —
Było mi błogo a świat mnie smucił...
Z roskoszą za czemś tęskniłam.

Wszystko to były roskoszne chwile
Dla dziecka duszy niewinnej,
Leciały szybko jako motyle
Pod cieniem strzechy rodzinnej.

Później mi miłość, ta gwiazda życia,
Rozgrzała serce i głowę;
Był to czas natchnień — era rozkwicia
Bogata w stroje tęczowe.

Duszą tonęłam w bratniej źrenicy
I z dumek wiłam wciąż wianki...
Była to roskosz młodej dziewicy,
Było to szczęście kochanki.

Dziś jestem żoną: z wrażeń w wrażenia
W tem życiu człowiek przechodzi;
W prawdziwem szczęściu czar upojenia,
Wciąż nowy urok on rodzi.

Czyż tutaj koniec pragnieniom duszy,
Gdy pełnią szczęścia oddycham?
Czyż nic nowego mną już nie wzuszy
Czyż dziś za niczem nie wzdycham?

O! doznam jeszcze wrażeń w tym świecie
Boga o szczęście to proszę —
Kobiety życia celem jest dziecię,
Tem szczęściem matki roskosze!

Wenecja 1871 r.

Janina z Z.. Ł.

Tak być musiało.

Powieść.

Napisał

JÓZEF ROGOSZ.

(*Ciąg dalszy.*)

CZĘŚĆ DRUGA.

III.

Przyjechawszy tego dnia do domu, Edmund przelotnie pocałował żonę w czoło, a gdy spytał o dziecko i otrzymał zapewnienie, że Mundziowi znacznie lepiej, udał się natychmiast w pole, chociaż o tej godzinie nie zwykł był zajmować się gospodarstwem. Tonia odprowadziła go wzrokiem do drzwi, ale słowa nie wyrzekła. Tylko koło serca zrobiło jej się tak jakoś dziwnie, tak boleśnie, jak do tej chwili nigdy jeszcze... Więc Edmund nie poszedł nawet do dziecka!... Co jemu się stało? Czemu taki blady... niby pomięszany?... Może on chory? Chciała za nim pobiegnąć, zatrzymać, wypytać — ale wstrzymało ją wrodzone uczucie delikatności. Może mnie się tylko zdawało — może miał jaką przykrość z ludźmi, gdy przez wieś przejeżdżał. Wszak ci włościanie tyle na wiosnę wzięli zapomogi, a teraz nie odrabiają, chociaż żniwa rozpoczęte. Tak tłumaczyła sobie niezwykłe męża postępowanie; gdy wrócił, powitała go uśmiechem, udając, że jest spokojną.

Przy objedzie Edmund mówił mało, od czasu do czasu rzucił jaką skargę na oficjalistów, a zaledwie wypił czarną kawę, poszedł na chwilę do syna, pocałował go w czoło, na które czerwone plamy wystąpiły, i zaraz kazał zaprządz do faetonu.

— Mundziu ty znowu jedziesz? — ośmieliła się Tonia zapytać.

— Jadę do pana Krzysztofa, aby wymódz na nim naprawienie promu. Teraźniejszy taki zły, że nie trudno kiedy o nieszczęście.

— Dziwi mię, że inni sąsiedzi o to się nie upomnieli... my tak rzadko odwidzamy kogo po tamtej stronie wody.

— To też źle moja Toniu i gdyby nie takie nasze postępowanie, hrabia Olpiński byłby mnie dziś przyjął nierównie grzeczniej. Widocznie gniewa się, że od tak dawna nie byłaś w Warnowcach.

— Przecie wiesz, że wybierałam się i gdyby nie dziecko...

— Dobrze, dobrze Toniu, musimy to na-

prawić jak najprędzej, a teraz bądź zdrowa, bo chciałbym prędko wrócić.

Pojechał na lewo do Dąbrówki... Tonia wolniej odetchnęła. Więc on dla tego zirytowany, że go hrabia zimno przyjął?.... Ach, to najmniejsze!

W pół godziny po odjeździe Edmunda, zjawił się na swoim dżigu hrabia Dziunio, który dotąd był kawalerem pełnym nadziei. U państwa Krzemieńskich pojawiał się on teraz dosyć często, a chociaż w Romanówce nie było bogatej panny na wydaniu, spędzał nieraz po kilka godzin w towarzystwie Edmunda i jego małżonki, i bawił się wyśmienicie. Zabawa jego była jeszcze większą, jeżeli przyjechawszy nie zastał gospodarza domu. Wtedy rozmawiając z samą panią dobierał słów najwyszukańszych, często dyskurs przeplatał francuskiemi frazesami, chwalił malutkiego Mundzia i brał go na ręce, dawał rady co do pielęgnowania kwiatów i przyrzekał przywieść najpiękniejsze nasiona, a gdy mu Tonia opowiedziała smutny wypadek z kaczętami, oburzenie jego było tak wielkie, że natychmiast chciał się podjąć zastrzelenia obu chartów, choćby za to miał się narazić na największy gniew ich właściciela. Zaledwie powiodło się Toni powstrzymać bohaterskie jego zapędy uroczystem zapewnieniem, że jakkolwiek ten wypadek w pierwszej chwili bardzo ją zmartwił, teraz puściła go w niepamięć, i więcej o nim nie myśli. Dziś hrabia Dziunio był jeszcze weselszym, jeszcze mowniejszym, chociaż pani domu słuchała go z roztargnieniem, prawie niechęcią. Opowiadał o ostatnich wyścigach w stolicy, i o swoim „biegu," który miał być najbardziej zajmującym, o „towarzystwie," a w końcu przeszedł na politykę, która według jego przekonania tak długo nie wejdzie na lepsze tory, dopóki u jej steru nie staną sami dobrze urodzeni. Tonia słuchała udając, że ją to bawi, ale niekiedy przyłożywszy chusteczkę do ust, ukradkiem ziewała. Gdy nadeszła chwila odjazdu, elegancki Dziunio pod wpływem swego krasomostwa tak się uniósł, że zamiast uścisnąć podaną sobie rączkę, ucałował ją głośno, jak niegdyś pulchną rączkę pani majorowej. Młoda kobieta spłonęła na twarzy, cofnęła rękę i odjeżdżającego kawalera pożegnała lekkiem głowy skinieniem.

Edmund wrócił dosyć wcześnie, lecz nie w lepszym humorze. Pan Krzysztof przyrzekł wprawdzie prom naprawić, jednak nie upewniał, czy to prędko nastąpi, ponieważ robotnik był teraz bardzo drogi i rzadki.

Nazajutrz około południa niebo się zachmurzyło, poczem nastąpiła słota trwająca cały tydzień. Edmund zmuszony siedzieć w domu niecierpliwił się i na służbę gderał, co u niego nigdy jeszcze się nie zdarzyło, i po kilka razy na dzień spoglądał na barometr wiszący u okna. Tonia chciała go rozerwać muzyką, nawet śpiewem, chociaż tak rzadko śpiewała—ale daremnie. Tymczasem dziecię wyzdrowiało, i wesoła jego twarzyczka zajaśniała znowu w pokojach młodych rodziców. Piękny ten widok nie rozweselił ojca na długo. Ucieszył się gdy niańka weszła z dzieckiem do jego pokoju, ucałował jedynaka z uniesieniem i zapytał: jak się masz synu? ale wkrótce zwrócił go dziewczynie, powstał i zaczął przechadzać się z głową zwieszoną.

Tonia nie mogła zrozumieć stanu jego duszy. Kilkakrotnie zapytywała czy nie chory, radziła by się napił rumianku, i na dzień do łóżka położył, a raz wspomniała nawet o lekarzu. Gdy atoli Edmund żachnął się zniecierpliwiony, zaprzestała rad i badań. Biedna kobieta widziała, że mąż coś przed nią ukrywa, i głębokie westchnienie wyrwało się jej z piersi, gdy pomyślała, że to słodkie zaufanie, które przez dwa lata między niemi panowało, zaczyna znikać... Czy na długo? Czy na zawsze? Strasznemi były te myśli dla Toni.

Gdyby choć miała przy, sobie ojca, tego ojca, który ich tak kochał, który ich tak znał! Przed nim jednym byłaby się odważyła zwierzyć ze swoich udręczeń, on jeden byłby dociekł prawdy, i usunął złe jeśli było jakie. Ale major bawił w kąpielach i miał wrócić dopiero w jesieni, matka zaś nadto nie lubiła Edmunda, by Tonia choć jednem słowem mogła się zdradzić przed nią ze swemi obawami. Tak więc został jej powiernikiem tylko Bóg.

W tym samym tygodniu, we Wolicy wyglądało nie mniej tajemniczo. Pani majorowa musiała układać jakieś plany, bo długie godziny konferowała z ukochaną Pędrasią, której córka, panna Marjanna, częściej teraz odwidzała swoją matkę. Ze służby nikt się nie domyślał, nad czem radzono tak poufale, i jeden tylko Walenty, którego mimo częstych prożb żony, major dotąd nie oddalił, kręcił głową z niezadowoleniem, bardzo żałując, że we Wolicy nie ma już Grzesia, przed którym dawniej lubił się zwierzać.

Po ośmiodniowej słocie zabłysło znowu słońce, a wraz z niem wypogodziło się czoło Edmunda. Zaledwie rozprószyły się chmury, nie czekając nawet aż podeschnie, kazał sobie wyprowadzić konia, dosiadł go i wyjechał. Godzina była dziesiąta przed południem. Tonia pewna, że mąż ogląda pola, nie śledziła go wzrokiem, lecz gdyby to była uczyniła, ku wielkiemu swemu zdziwieniu byłaby postrzegła, że Edmund okrążywszy łany na północ od dworu położone, wjechał w olszynę na prawo, i polnemi drogami zwrócił się ku rzece. Wtedy instynkt kobiecy byłby jej może powiedział, że przeprawiwszy się przez rzekę ruszył drogą wiodącą do Warnowiec... Edmund w rzeczy samej jechał tą drogą, a jechał powoli, krok za krokiem, często przystając, jakby myślał o powrocie. Wyminął połowę przestrzeni, przypuścił konia i całym pędem wyjechał na pagórek, zkąd widać było Warnowce i pałac hrabiego Olpińskiego. Przeszło godzinę stał na jednem miejscu, z oczyma w pałac utkwionemi, a potem nawrócił konia i drogą, którą przyjechał, udał się z powrotem.

Podczas gdy on tam stał i dumał, Tonia oczyszczała kwiatki w ogrodzie, w czem jej Grześ dopomagał.

— Coś pana nie widać — rzekła około południa, spoglądając na zegar słoneczny, który stał na środku głównego klombu.

— Aha nie widać — odparł Grześ obojętnie i szybciej jak dotąd zaczął kwiatki obsypywać ziemią urodzajną, którą ulewne deszcze spłukały.

— Możebyś skoczył zobaczyć gdzie się pan zatrzymał — zapytała po chwili.

— E, nie, nie potrzeba proszę jaśnie panią, jaśnie pan zaraz wróci — odpowiedział. — Ale mnie dziwi — dodał po chwili — że panu chce się jeździć po polach w takie błoto, jakby nie miał rządcy, ekonomów i polowych. To szkoda zdrowia proszę jaśnie pani.

— Kiedy pan lubi gospodarstwo.

— Prawda, ale zdrowie przecie pierwsze? Gdybym ja był na miejscu jaśnie pani, wiem cobym zrobił...

Tonia ze zdziwieniem podniosła oczy na mówiącego, który ciągle patrzył przed siebie, zajęty pilnie swoją robotą. Za poufałość nie gniewała się jednak, bo Grześ wychował się od dziecka w domu jej rodziców.

— I cóżbyś zrobił? — zapytała.

— Nie pozwoliłbym panu tak często z domu wyjeżdżać... Bo to proszę jaśnie panią człowiek jak się ciągle trzęsie, to i zdrowie z siebie wytrzęsie, a jaśnie pan tylko wygląda tak zdrowo. On delikatny, bardzo delikatny!

— I ty myślisz Grzesiu, że to można zakazać?

— O można proszę jaśnie pani, można, tylko trzeba... jak nieprzymierzając pani majorowa, a wszystko będzie inaczej.

Ostatnie słowa wymówił z takim przyciskiem, że Tonia drugi raz oczy podniosła, wpatrując się tym razem w dwudziestoletniego chłopca długo i badawczo. W jakim celu on to powiedział? Wkrótce wrócił Edmund. Gdy Grześ konia do stajni odprowadzał, spoglądając na zabłocone jego nogi i boki okryte żółtą jak wosk gliną, której nigdzie nie było na dworskich polach, długo coś mruczał i bardzo dwuznacznie głową kręcił.

Kilka dni upłynęło bez ważniejszego zdarzenia. Edmund wyjeżdżał codzień, zawsze sam bez Grzesia, a panowie Krzysztof i Damazy jadąc raz drogą, widzieli, jak stał na koniu w tem samem miejscu, dokąd odprowadziliśmy go niedawno. Sąsiedzi ukłoniwszy się z daleka poszeptali coś do siebie i dalej ruszyli.

Nareszcie po dłuższej niebytności, pani Hermina zjawiła się pewnego dnia po południu. Jak zwykle przyjechała konno ze swoim groomem. Tonia przywitała ją z wielką uprzejmością, chociaż może pocałunek był nieco chłodny, a pierwsze słowa wymuszone; piękna sąsiadka była atoli tak roztrzepana, że na te drobnostki nie zwróciła uwagi. Edmund bardzo się ożywił, mówił wiele, nawet gdy Hermina usiadła do fortepjanu, prosił ją o akompaniament i zanucił wesołą piosenkę francuską, której każda zwrotka kończyła się słowami:

Trompez moi, trompons nous
C'est un plaisir assez doux!

Hermina żartując z pieśni figlarnej, po kilkakroć zapytywała Edmunda, czy wielka to przyjemność oszukiwać i być oszukiwanym. Młody człowiek zasłaniał się twierdzeniem, że ponieważ nie znajdował się nigdy w takiem położeniu, więc nie może zaspokoić jej ciekawości, a co do piosenki, to za jej treść powinien być odpowiedzialnym tylko jej autor. Na takiej rozmowie, w której Tonia mały brała udział, gdyż co kilka minut wybiegała do dziecka, które tego dnia bezustannie płakało, upłynął czas nadzwyczaj szybko, i bawiący się w salonie ni spostrzegli, kiedy słońce skryło się za góry oddalone.

— Ach! już tak późno! — zawołała nagle hrabina, patrząc w okno. — Jak tu u was czas przyjemnie biegnie.

— Bardzo nam to pochlebia — odpowiedział Edmund — i żal nam tylko, że tak rzadko widujemy panią w naszym domu.

— W każdym razie częściej niżeście państwo zasłużyli. Ciebie naprzykład Toniu od wieków nie miałam u siebie... Czy uwierzyłabyś, że nawet mój poczciwy wujaszek stęsknił się za tobą i gdyby nie jego „Kronika," którą ceni nad wszystko, byłby cię już kilka razy odwidził.

— Wiesz Hermińciu, że nie niechęć tego powodem, ale niemożność. Mój Mundzio taki nie-

cierpliwy, na chwilę nie mogę go samego zostawić.

— Wiem moja droga, wiem, a że cię najzupełniej usprawiedliwiam, masz najlepszy w tem dowód, że nie liczę się z wizytami, i przyjeżdżam ilekroć mogę. Przy najbliższej jednak sposobności musisz się do nas wybrać razem z Mundziem... świeże powietrze i ruch nie zaszkodzą dziecku.

— Najchętniej.

— Trzymam cię za słowo. A teraz bądźcie mi zdrowi, bo doprawdy czas was pożegnać.

— Jakto, jedziesz o północy?

— Przecie sama nie jestem... mam obrońcę w moim chłopaku, a chociaż z gór woda przybyła, jest nadzieja, że dziś jeszcze nie utonę wraz z promem pana Krzysztofa.

Małżonkowie spojrzeli po sobie pytająco.

— Ale przenocuj u nas Hermińciu — prosiła Tonia. — Przecie wujaszek domyśli się, żeś u nas została... w najgorszym razie możesz odesłać chłopca, aby hrabiego uspokoił.

— Nie mogę droga Toniu, jak cię kocham nie mogę. Nie idzie mi o wujaszka, bo on już pewnie spać będzie, gdy do domu wrócę, ale jutro o ósmej z rana zapowiedział się mój adwokat w nadzwyczaj ważnej sprawie, a jeszcze dziś muszę mu przygotować papiery. Żegnam was więc moi drodzy i do rychłego zobaczenia.

Mówiąc to piękna kobieta włożyła kapelusz. Edmund spojrzał na żonę pytająco — Tonia milczała.

— Jeżeli taka wola — przemówił Edmund z niejakiem wahaniem — to przynajmniej niech mi będzie wolno panią odprowadzić.

— Dziękuję ci panie Edmundzie, serdecznie dziękuję, lecz boję się, by Tonia nie nudziła się sama.

— Jedź, jedź Mundziu — rzekła Tonia półgłosem — tylko weź Grzesia, bo w nocy nie trudno o wypadek.

Edmund nieznacznie przygryzł usta, a zadzwoniwszy polecił Grzesiowi, by niezwłocznie osiodłał dwa konie.

W pół godziny ruszyli wszyscy z przed ganku. Tonia stojąc w oknie, spoglądała za odjeżdżającymi, i chociaż mrok wieczorny oddawna okrył ich swoim płaszczem, stała jeszcze na dawnem miejscu. (C. d. n.)

Długosz o Elżbiecie trzeciej żonie Jagiełły.

Napisał

ANTONI PROCHASKA.

(Ciąg dalszy).

Opowiada nam Długosz, że już w połowie 1419 roku zapadała królowa Elżbieta na zdrowiu. To też nie towarzyszyła już królowi w częstych jego po kraju podróżach jak to przed rokiem jeszcze czyniła. Gdy tedy król w sierpniu 1419 r. jechał ku Środzie,[1]) ściemniło się nagle niebo, powstała burza, zahuczały pioruny, a jeden padł nawet około kolebki w której król jechał i zabił dwóch ze służby dworskiej. Gdy po tym dziwnym wypadku począł Zbigniew Oleśnicki tłumaczyć królowi, że ta burza i to nieszczęście oznaczać mają, iż same żywioły oburzyły się na przestępstwo króla, ponieważ ożenił się z siostrą chrzestną, wpłynęło to tak na króla, że począł żałować stosunków zawartych z Granowską.

[1]) Dł. XI. 403, 404.

Historja ta atoli podobna do owego zaćmienia słońca i świadczyć tylko może o pragmatorskim duchu historyka, o przesądnym człowieku, jakim był jego wiek [1]) a wreszcie o charakterze męża duchownego, któremu dla kanonicznego skupułu nie podobał się związek królewski. Dla tego też wkłada on w usta sekretarza królewskiego Zbigniewa mowę, ze stanowiska praw kanonicznych budującą. Ale pod żadnym względem nie zasługuje opis naszego historyka na wypowiedzenie pana Cary: „Zapalczywość i namiętność Długosza z jaką o Elżbiecie mówi jest nad podziw wielką.“[2]) Jak wpierw bowiem z przypadkowego zaćmienia tak tu z piorunu wysnuwa Długosz moralne ale i istotne, bo panujące podówczas o Elżbiecie zdanie: że małżeństwo króla z nią niepodobało się Bogu ni ludziom. Wprawdzie można w tym ustępie Długosza widzieć formę rażącą, namiętną, zapalczywą itp., ale na to trzebaby wpierw z panem Carem wierzyć, że Długosz pisze jako wróg Elżbiety, stronnik kancelarji i w tem podobne hipotezy wrocławskiego profesora. My widzimy i w tym opisie Długosza niechęć jaką przejęty był względem Elżbiety a którą dzielił z całą Polską.

Z końcem roku 1419 chyli się nieszczęsny stan zdrowia królowej ku widocznej katastrofie. Ostatniego września tegoż roku widzimy ją po raz przedostatni przy boku króla. Przybył on z nią do Lwowa; gdy atoli ku Glinianom wyruszał, nie mogła mu już towarzyszyć złożona chorobą i pojechała do pobliskiego Gródka. W połowie listopada odwidził ją król bardzo osłabioną w Brzesku, i snać leży bądź tam bądź w Pilczy kiedy w „Rachunkach dworskich“ niema już zmiany jej pobytu. Przy końcu życia, widzimy ją jeszcze procesującą się z Janem i Piotrem „heredibus de Chissow“, zapewne Czyżowskimi[3]). Snać byli to sąsiedzi jej majątku Rudno, a skarżyła ich, że spuszczeniem wody poszkodowali ją na 40 grzywien, ponieważ w ten niedozwolony sposób zburzyli jej stawek i młyn w majątku Rudno. Nie wiemy czy za jej życia ta sprawa załatwioną została. Dnia 23 marca przyjeżdża ona do Krakowa, a na dniu 12 maja (1420) umiera. Nie potrzebujemy dodawać, że jak wszędzie tak i tu zgadza się Długosz zupełnie z zapiskami „Rachunków“ na które Zeissberg szczególną zwraca uwagę.

Król wyprawił zmarłej uroczyste nabożeństwo żałobne w Brzesku — pogrzeb jej bowiem odbył się w Krakowie; zwłoki zaś złożono w kościele krakowskim przy którym syn jej Jan, roku 1426 ufundował ołtarz i nabożeństwa mające się tamże tygodniowo odbywać za duszę matki.[4]) Nabożeństwo atoli w Brzesku niebyło jak mówi Długosz żałobne.[5]) Bo czyż śmierć jej mogła być przykrą wieścią a smutnym wypadkiem w Polsce, która w jej królewskiej koronie upatrywała sromotę ściągnioną na króla i na kraj cały? Dla tego też, powiada Długosz, maiorque in funere (eius) quam in coronatione ovatio edebatur.“ Dalej zaś objaśnia te słowa, mówiąc, że ci, którzy byli na pogrzebie, śmiali się i cieszyli, gdyż im było niemiłe i nieznośne to małżeństwo króla. Wprawdzie możebyśmy i Długosza skarcili za to, że nie łaje cieszących się ze śmierci Elżbiety, lecz raczej w relacji swojej ich usprawiedliwia, lecz zapytajmy, czybyśmy sami, będąc współczesnymi prawie historjografami podobnie jak Długosz nie napisali? Czybyśmy wreszcie jako współcześni, nie przyjęli najobojętniej śmierci królowej do wiadomości, dla której, z powyżej rozbieranych powodów, cała współczesność żywą była przejęta niechęcią? Długosz zresztą nie spisuje tego ustępu z jadem złości, jest to czczy wymysł. Wszakżesz mówi on: „Krążyły nadto między ludźmi i podówczas i później różne na królowę miotane urągowiska, iż lepiej podobno byłoby dla niej, gdyby nigdy królewskiej godności nie znała.“ Czyż nie powiemy my dzisiaj w podobny sposób wraz z Malinowskim, że jej lata i urodzenie, powinne były zamknąć jej drogę do tronu? Wszak w powyższem powiedzeniu Długosza nie widać zawiści, oszczerstwa; jest tylko żywa niechęć, krórą podzielał wraz z całą współczesnością. Długosz jest tu tak objektywny, że znając tłusty paszkwil, który Ciołek napisał na królowę, paszkwil kancelisty na biedną kobietę, robi uwagę: iż lepiej byłoby dla niej gdyby królewskiej godności nie znała, gdyż Ciołek pisarz królewski napisał na zmarłą satyrę i wiele wierszy pełnych uszczypliwości i zelżywości. Zna on nawet te wiersze, których jednak sam wcale nie pochwala.[1]) Zupełnie przedmiotowo pisze on, że za ten czyn został Ciołek wypędzony ze dworu królewskiego, ale później dla biegłości w pisaniu nazad przywołany. A zatem i w tym końcowym ustępie grzeszy Długosz tylko grzechem współczesnych — żadną zaś miarą obelżywością, złością a tem mniej fałszem, którymby miał o królowej nikczemne rozsiewać wieści.

Z powyższego już rozbioru relacji Długosza o losach Elżbiety i o Elżbiecie jako królowej, przekonaliśmy się, że zarzuty szanownych jego oponentów są bezpodstawne. Dorozumiewać się przeto należy, że ci rehabilitatorowie Elżbiety, którzy, usiłując inny jej obraz nakreślić, aniżeli ten, jakiśmy u Długosza widzieli, popadali w fałsze, gmatwaniny i w śmieszności, a więc i ich hipotezy, na mocy których zbudowali swój „gmach karciany,“ są również bezpodstawne i fałszywe. Według wszelkiej konsekwencji postępując, niepowinnibyśmy na tem miejscu omawiać hipotezy Dra. Cary, o „kancelarji królewskiej“, jako o wrogiem Elżbiecie stronnictwie, lub o tem że Elżbieta należała do partji „teutonizujących“ w Polsce. Rzecz o Elżbiecie przedstawia się zdaniem naszem tak jasno, że Długosz nie potrze-

[1]) Że w wieku ówczesnym panowały takie przesądy i znachodziły wyraz swój u historyków, poświadcza pomiędzy innymi i ten szczegół że gdy Leopold austrjacki zginął w bitwie pod Sempach 1386 r. przypisywano powszechnie jego klęskę karze niebios za konszachty z antipapieżem Klemensem. Obacz Szajnocha: Jadwiga i Jagiełło III. 175. z Reinalda XVII. 125, ad a. 1386.

[2]) Caro. Gesch. Pol. III. 484.

[3]) Helcel Starodawne prawa polsk. pomniki. II. zapiska 1735 z dnia 11 stycznia i zapiska 1742 z 27 lutego 1420 roku. Z zapiski 1764 dowiadujemy się o: Gregorius de curia Olim domine Regine: z 1796 zaś: Marcus familiaris domini Johannis filii olim Regine.

[4]) Liber beneficiorum I. 253, 53.

[5]) Długosz. XI. 427.

[1]) Że paszkwile podówczas, były rzeczą bardzo częstą i po wielekroć praktykowaną, poświadczają częste ich wzorki jakie o cesarzu Zygmuncie po Niemczech krążyły. Przypominam tylko ów „Sermo secrete editus“ u Andrzeja z Ratysbony (Höfler. Geschichtsschreiber der hussitischen Bewegung). A przecież żaden z niemieckich historyków, nie oburza się na te paszkwile, jak się oburzają rehabilitatorowie Elżbiety na paszkwil Ciołka — lecz zużytkowuje je jako tło usposobienia osoby, kraju lub całego państwa, względem osoby na którą paszkwil napisany. W taki sposób zużytkować powinniśmy satyrę która krążyła o Polakach w królestwie Czeskiem, (Höfler II.) tak też winniśmy uważać satyrę Ciołka.

buje się nadal obawiać srogich zarzutów szanownych swych oponentów. Co się zaś tyczy hipotez Cara, któreby się może w innym wypadku zastosować dały — toć prosimy go łaskawie o dowody — te bowiem które niby podał, są całkowicie niewystarczające, niedostateczne.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

Poezje Adama Pajgerta, Lwów u Zawadzkiego 2 tomy Kajus Gracchus, dramat w 5 aktach Karola Klossa Lwów; Gubrynowicz i Schmidt. — Bohdan Jański „pierwszy pokutnik jawny i apostoł emigracji polskiej we Francji," szkic biograficzny, skreślił Edmund Callier. Poznań — E. Callier. (Dokończenie.)

Postać Bogdana Jańskiego mało jest znaną szerszej publiczności, a jednak była to osobistość w swoim czasie bardzo czynna w sprawach naszego wychodźtwa, której przyszły historyk polskiej emigracji będzie musiał sporą liczbę kart poświęcić. Jański był właściwym założycielem osławionego Zakonu Zmartwychwstańców, choć go szanowni ojcowie za takiego uznać nie chcą. Prawdopodobnie i Jański nie miał zamiaru, zakładając klasztorek przy ulicy *Notre Dame de Champs*, widzieć swój zakon takim, jakim go zrobili Semeneńkowie i Kajsiewicze. W każdym razie postać Jańskiego, który był głównym motorem kierunku religijnego w emigracji, wywierającego wielki wpływ na owoczesne towarzystwa emigracyjne, i na takich ludzi jak Mickiewicz, Zaleski, Witwicki i t. d. jest godną, ażeby się z nią bliżej zaznajomić, i p. Callier dobrze się zasłużył piśmiennictwu, ogłaszając monografję, której tytuł podaliśmy w nagłówku.

Bogdan Jański urodził się 1807 r. w Pogorzelcu w Płockiem, z Piotra i Agnieszki z Hreniewieckich. Rodzina jego nie była majętną. Po odbyciu studjów przygotowawczych przybył do Warszawy i zapisał się na wydział prawniczy, w którym Frydryk hr. Skarbek zajmował katedrę ekonomji politycznej. Zmuszony utrzymywać się z lekcyj, nie zaniedbywał Bogdan własnych studjów, celował między swymi kolegami i zwrócił na siebie uwagę hr. Skarbka. Młodzież ówczesna bardzo była gorąca i mnóstwo stowarzyszeń tajnych między nią było. Jański zawiązał związek duchowy z dwoma swymi kolegami Ludwikiem Królikowskim, późniejszym autorem „Chrystusowej Polski" i Teodorem Olechowskim. Cel tego związku był bardzo nieokreślony. „Uznawaliśmy, pisze Królikowski, że połączenie nasze we trzech było spełnieniem rady ewangelicznej i dawało nam rękojmię spełnienia wszystkich obietnic Chrystusowych, tak u nas, jak w ojczyźnie." Widać z tego, że Jański od młodości miał jakiś popęd do mistycyzmu, jakkolwiek w owych czasach jak mówiono ulegał wpływom „materjalistowskim". Roku 1827 wysłany został Jański za staraniem hr. Skarbka na koszt kraju do Paryża, dla sposobienia się na profesora w przyszłej szkole politechnicznej warszawskiej, gdzie miał wykładać prawo handlowe. Przed wyjazdem ożenił się z panną Aleksandrą Zawadzką, córką sąsiada swych rodziców. Zawarcie tego związku okazuje w pełni ekscentryczny jego charakter. Oto jak opisuje p. Callier historję tego małżeństwa: Na kilka dni przed wyjazdem za granicę, przechodząc przez Saski ogród w Warszawie, spotyka się z panną A. Z., z którą znał się podobno w dziecinnych latach i razem z nią się wychowywał. Po dłuższej z nią rozmowie, dowiaduje się, że uwiedzioną i wykradzioną została z rodzicielskiego domu przez nieznajomego nam bliżej człowieka, który ją następnie porzucił. B. Jański tak żywo uczuł pokrzywdzenie i rozpaczliwe położenie tej dziewczyny, że bez najmniejszego namysłu idąc poprostu za pierwszym popędem szlachetnego zaiste serca, postanowił ożenić się z nią, dać jej swe nazwisko i ocalić ją tym sposobem od dalszej hańby i wstydu, od doraźniejszego jeszcze upadku. Czemprędzej wyjednał sobie indult, wziął z nią ślub w kościele Kapucynów i nie tracąc jednej chwili czasu, z progów świątyni wyjechał do Francji.

Inni utrzymują że Jański, spotkał swą żonę w jakimś domu publicznym. Postępek ten jego okazuje wielki brak zastanowienia, a porzucenie żony zaraz po ślubie na zawsze zdradza w Jańskim człowieka, który działał tylko dla chwilowej fantazji. Przybywszy do Paryża, Jański wiódł życie lekkomyślne i przystąpił do Sęsymonistów, którzy będąc właściwie stronnictwem polityczno-socjalnem, przeobrazili się w sektę religijną. Jański używał między nimi wielkiego poważania, żył w przyjaźni z M. Chevalier, redaktorem organu sekty „*Le globe*" i był nawet współpracownikiem tego dziennika. Kwestje teologiczne badał z zamiłowaniem, a oprócz tego poświęcał się pilnie umiejętnościom prawniczym, jak o tem świadczą ułamki rozpraw pozostałe w jego papierach.

W powstaniu r. 1831 czynnego udziału nie brał, natomiast służył sprawie piórem pisując piękne, ogniste artykuły za Polską do dzienników francuskich. Po r. 1831 przybył do Paryża liczny zastęp emigrantów i wnet rozpoczęła się między nimi czynność w celu nadania wychodźtwu stałej organizacji. Potworzyły się komitety, i jak zawsze między Polakami rozpoczęły się kłótnie. Jański, który jeszcze się namyślał, czy ma powrócić do kraju, mały brał w nich udział, nie był jednak zupełnie bezczynnym. W naradach zabierał czasami głos i zawsze okazywał chwiejny charakter, przerzucając się z jednego stronnictwa w drugie.

Rok 1832 był stanowczym w życiu Jańskiego. W tym czasie spotkał on się z Mickiewiczem, gorliwym katolikiem, od młodości już skłonnym do mistycyzmu, i ten przerobił go z zapalonego Sęsymonisty, na fanatycznego katolika. Mickiewicz zapoznał go z hr. Montalambertem, hr. Cezarym Platerem, X. Lamenais, ks. Ogińskim i innymi polskimi i francuskimi ultramontanami.

Duch antiklerykalny przeważał w emigracji, Jański z Mickiewiczem uważali, że tylko katolicyzm zbawić może Polskę, i dla tego za główne zadanie położyli sobie „nawrócenie" emigracji. Ażeby dla tej pracy stworzyć jakieś ognisko z któregoby można działać trwale i systematycznie postanowiono założyć na emigracji polski klasztor. Założenie takiego klasztoru było marzeniem Mickiewicza. Chciał on stworzyć polskie bractwo katolickie w celu niesienia sobie wzajemnej pomocy, wspólnego odmawiania modlitw itd. coś w rodzaju Kawalerów szpitalnych ze stolicą w Irlandji lub Afryce. Mickiewicz umiał zagenjalnie marzyć i rokował w myśli takiemu zastępowi Chrystusowych rycerzy wielką rolę w oswobodzeniu ojczyzny. Myśl ta jego była wypływem gorącego, religijnego ducha, a zarazem romantycznego zamiłowania średniowieczyzny. W celu rozpowszechnienia swoich zasad założył Mickiewicz z Jańskim i Domejką pismo polityczne „Pielgrzym", do którego Jański pisał wiele wybornych artykułów. Niektóre przypisywane Mickiewiczowi jak np. „O obojętności politycznej" są jego pióra. Okazuje on się nam w nich jako jeden z najlepszych polskich publicystów, jakich mieliśmy kiedykolwiek. Jasność myśli, ścisłość rozumowania, forma lapidarna oto ich zalety. Wydawnictwu „Pielgrzyma" poświęcał Jański nietylko cenną swą pracę, ale i gorzko zarobione pieniądze, które mu przynosiło udzielanie lekcyj prywatnych i pisanie artykułów przeważnie o Polsce i Słowiańszczyźnie do różnych encyklopedyj i przeglądów. Z czasów wydawania „Pielgrzyma" pozostawił wiele notatek do dziejów społecznej, które pisać zamierzał, nie składają jednak one żadnej całości. Po upadku „Pielgrzyma" przyjął obowiązki nauczyciela w domu ks. Ogińskich i postanowił poświęcić się w zupełności apostolstwu emigracji tj. nawracaniu emigrantów na rzymski katolicyzm. Dnia 19 grudnia 1834 zawiązuje się „Bractwo zjednoczone", znane także „Bractwem Bogomodlców", w którego skład weszli A. Mickiewicz, Ant. Gorecki, Stefan Witwicki, C. Plater, Bogdan i Józef Zalescy, do którego przyłączyli się zaraz Ignacy Domejko i Bogdan Jański. W rok później wchodzą w skład towarzystwa Kajsiewicz i Semeneńko, obaj z zamiarem poświęcenia się stanowi duchownemu. W r. 1836 zakłada Jański klasztorek przy ulicy *Notre Dame de Champs*, który później przeniesiono na *Boulevard Mont Parnasse*, a następnie na *Rue Vavin*. Wyżej wspomniane „Bractwo zjednoczone" było radą nadzorczą tej kolebki Zmartwychwstańców. Jański był przeorem. Pracował nad siły, biegał po całych dniach za pieniądzmi na utrzymanie klasztorku, i czynił wycieczki po całej Francji dla pozyskania zwolenników. Praca ta i niewygody podróży nadwerężyły znacznie jego zdrowie, które w ogóle było bardzo słabe. Jański jeszcze w 1834 zapadł ciężko na chorobę piersiową. W r. 1837 wysłał Jański Semeneńkę i Kajsiewicza do Rzymu, aby się tam w teologji kształcili i oni to są właściwymi założycielami Zmartwychwstańców. Zdrowie Jańskiego coraz to mocniej podupadało, w roku 1839 udał się na południe Francji na kurację, a następnie podążył do Rzymu, gdzie miał zamiar poświęcić się naukom teologicznym. Tutaj umarł 2 lipca 1840 r. Zwłoki Jańskiego pochowano na cmentarzu św. Wawrzyńca, a na jego grobie umieszczono napis: Hic resurrecturus quiescit. Słowo „resurrecturus" zmienili potem zmartwychwstańcy na „vir bonus et Deocarus".

Oto w krótkości opowiedziane życie Jańskiego. Słów kilka poświęcić jeszcze musimy jego zapatrywaniom religijno-politycznym. Był to człowiek głęboko religijny, ale nie należał do rzędu tegoczesnych ultra-katolików, stawiających sprawę narodową na drugi plan i dla rzekomo wyższych celów łączących się z wrogami przeciw ojczyźnie. U niego ojczyzna i kościół stanowiły ze sobą pojęcia jak najściślej złączone, on jak sam mówił „chciał patrzeć w niebo przez szybę polską." Czuł on dobrze, że ultramontanie mogą z czasem stanąć wrogo przeciw narodowi, dla tego też zakładając kościółek zastrzegł był wolność wyznania wiary politycznej. To tłumaczy nam dla czego Zmartwychwstańcy, będący obecnie nicznm innem jak tylko kosmopolitycznymi obrońcami konserwatyzmu, mimo że uznają zasługi Jańskiego dla swego Zgroma-

dzenia, wyrażają się o nim zimno i nie chcą uznać za swego ojca duchowego. Jański był dobrym Polakiem, nie radził Polakom, aby uznali panowanie cara i pokornie nadstawiali plecy pod uderzenia knuta, byle car posłał świętopietrze, lub pozwolił Jezuitom rozlokować się w Moskwie, nie jeździł hołdowniczo lizać łap niemieckiemu cesarzowi po zwycięstwie nad Francją, która takim Kajsiewiczom i Semeneńkom przytułek dawała — dla tego też nie ma jego pamięć wielkiego miru u Zmartwychwstańców. Z pewnością duch jego tem się nie martwi.

Monografja p. Calliera, ze wszech miar ciekawa, napisaną jest bezstronnie, sumiennie, w sposób bardzo jasny i przystępny. Autor nie szczędził pracy w nagromadzeniu materjałów i zużytkował je krytycznie, tak że śmiało powiedzieć możemy, że kwestję wyczerpał do głębi. Jedno tylko mielibyśmy tej pracy do zarzucenia, a mianowicie za daleko posuniętą skrupulatność w ogłaszaniu *in extenso* wszystkich materjałów, z których autor czerpał, przez co książka p. C. urosła do bardzo poważnych rozmiarów. Noty umieszczone w pierwszej części, tej właściwej biografji Jańskiego są zupełnie wystarczające, a z drugiej strony, Jański, jakkolwiek wielką odegrał rolę na emigracji, nie jest tak ważną historyczną postacią, ażeby ogłaszać specjalnie materjały do jego życia, dodawać tabele genealogiczne i t. d. W każdym jednak razie wolimy w autorze skonstatować zbytek, niż brak sumienności.

Bolesław Czerwieński.

POGADANKI.

XXV.

Lwów wzięty jest „szturmem" po raz drugi od czasu, jak istnieje, tj. po raz drugi od czasu, jak Karol XII oglądnąwszy go z pod lipy, dotychczas przechowanej w ogrodzie Botanicznym, osądził go godnym wzięcia, i jak następnie, przerzuciwszy swoją szpadę przez parkan OO. Karmelitów, a za szpadą, swoją osobę, zniewolił północne swoje żołdactwo do zbadania, czy w istocie najlepsze wina południowe przechowują się w piwnicach tutejszych, i czyli sławetne murów niniejszych mieszkańce, zdobędą się na złożenie tej ilości srebra, jaka Jego królewskiej Mości potrzebną była do dalszego prowadzenia wojny z królem Augustem i carem Piotrem.

Nie brutalny Mars wszakże, ani pochodnię wojny niosąca Bellona, ale inne zupełnie bóstwa potrafiły podbić niezwyciężoną nigdy przez jawnego wroga, dumną stolicę Czerwonej Rusi. Jak Herakles u stóp Omfali, tak Lwigród legł — u pantofla trzech cór Apollina, z których jedna zasmuca, druga rozwesela nasze serca, a trzecia łechce nasze uszy: Melpomeny, Talii, Euterpy.

Jednem słowem, teatr letni obok ogrodu Jezuickiego, obecnie miejskiego, pobił, zabił, zniweczył, unicestwił, wszystkie nasze letnie miejsca rozrywki. Któż dziś pójdzie na „festyn" ogrodowy, słuchać dętych, mosiężnych instrumentów c. k. muzyki? Kto zechce na Pohulance, albo na Wysokim Zamku, przysłuchiwać się produkcjom domorosłych skrzypicieli i rurodmuchów, vulgo, klarynecistów?

Nikt!

„Całe miasto" — (to „całe miasto," o którem wiadomo czytelnikom *Narodówki*, że ma czasami zwyczaj „śmiać się" *unisono*) — całe miasto tedy, biegnie na przedstawienie „Lukrecji Borgia," opuszcza nawet sposobność przeziębienia się na festynie, i idzie słuchać koncertu, dość nieartystycznie ułożonego przez najmniej artystyczną ze wszystkich dyrekcyj tego świata.

Ale w koncercie tym, nieumiejętnie aranżowanym, biorą udział siły, którychby nam pozazdrościć mogły większe od naszego, bogatsze i więcej ożywione miasta. Są to siły dzisiejszej naszej opery, zaprawionej — włoską sałatą — tak, jak się nią zaprawia strawny lub niestrawny kawałek mięsa pod.... „Jeleniem."

Pierwszeństwo należy się gościom, dla tego też przedewszystkiem wspomnę tu o cudzoziemskiej przyprawie tego, jak mówię, nieartystycznie podanego, artystycznego półmiska.

Prym wiedzie panna Marco, Amerykanka anglosaksońskiego rodu. Jest to spiewaczka „koloraturowa." Ludzie muzykalni zrozumieją co to znaczy, dla niemuzykalnych, niechaj wystarczy objaśnienie, że spiewaczką „koloraturową" nazywa się spiewaczka, która nietylko ma głos, i nietylko umie krzyczeć, gdzie potrzeba, ale ta która *umie* spiewać. Panna Marco umie spiewać. Nietylko wszakże uchem, ale i okiem lubi człowiek używać piękności. Lucia, Rozyna, Violeta. Marta, *e tutte quante*, muszą przekonywać widza postacią swoją o prawdzie tego wszystkiego, co czule wyspiewuje tenorzysta. Piękny spiew chyba tylko z po za parawanu wydać się może pięknym, jeżeli w akcji nie odpowiadają mu osobiste przymioty spiewaczki. Lucia krótka i „podsadkowata" zadowolić może jedynie krytyka, obdarzonego niesłychanym zmysłem abstrakcyjnym. Krytyka o krótkim wzroku a długim słuchu. Największy miłośnik sztuki, któremuby kazano podziwiać arcydzieła zgromadzone w galerjach Florencji i w gmachach Rzymu, a któregoby podkadzono przytem assafetydą, wyrzekłby się raz na zawsze rzeźby i malarstwa, a prosiłby o „*Cracow and Lemberg bouquet*," od Feintucha. Tak samo ma się rzecz z operą. Sam spiew nie może uczynić zadość wymaganiu prawdziwego znawcy — wszak opera jest gałęzią dramatu, a dramat nie przez uszy, ale i przez oczy trafiać musi do tej komórki mózgu, w której obrała sobie siedzibę nasza władza odbierania i osądzania wrażeń. Spiewaczka tedy, a przedewszystkiem spiewaczka występująca w rolach, które nie stanowią integralnej części utworów, nastrajających nas poważnie tragiczną grozą muzykalnej i dramatycznej całości swojej, spiewaczka taka, mówię, podbić nas musi z góry sama sobą. Czy danem to jest pannie Marco — na to odpowiadają głuszące oklaski, towarzyszące każdemu jej występowi.

Gwiazdą, dziwnem zrządzeniem losu wschodzącą właśnie we Lwowie, jest panna Gabbi. Jej młodość, wdzięk i głos świeży, czysty i silny, każą nam zastanawiać się, jakim sposobem można to wszystko podziwiać w mieście, którego ojcowie „*nie potszybujom tryjatru, bo jak zechcom, to same tryjater pokażom.*" Onegdaj panna Gabbi odspiewała nam *Dumkę* Troszla — po polsku, i jak pana Gillera kocham, wymawiała „*słońca*" i „*końca*" jak rodowita Polka. Entuzjazm publiczności był równie wielki, jak wówczas, kiedy panna Marco w „Cyruliku Sewilskim" wymówiła magiczne wyrazy: „*Ja ciebie kocham* Lindorze." Ktokolwiek wie, jak trudno cudzoziemcowi wymówić nasze „*ć*" lub „*ł*" ten potrafi ocenić dobre chęci obcych artystek, i uwierzy, że wkrótce panna Gabbi zaspiewa nam *Halkę* — aż do tego czasu niemożliwą, bo hrabianki i księżniczki mogą mówić po włosku wśród pospólstwa polskiego, ale góralka, chłopianka, nie może przemawiać językiem Petrarki i Tassa do takiego polskiego panicza, jak Janusz.

Bardzo cennym nabytkiem dla śpiewającej sceny naszej jest także p. Tercuzzi, nader uzdolniony artysta, a przytem tak młody, że wobec sympatycznego przyjęcia jakie go spotyka, spolszczy nam się w oczach, jak już niejeden obcokrajowiec spolszczył się na tej serdecznej, poczciwej ziemi polskiej.

Z pomiędzy swojskich, ba, domorosłych prawie śpiewaków, w pierwszym rzędzie postawić należy niezrównanego naszego Köhlera. Wyobraźcie sobie państwo, wy, którzy rzadko zaglądacie do Lwowa, tercet, śpiewany koncertowym sposobem. Dwóch „skich" we frakach i w białych krawatach, a K ö h l e r w czamarce, z sumiastym wąsem i fizjonomją przypominającą dawne bardzo, lepsze czasy. Köhler mógł zrobić karjerę w świecie, mógł teroryzować dyrektorów w Wiedniu, w Berlinie i w Paryżu, mógł już obecnie mieć willę w Dreznie i udawać, że cierpi na wątrobę — ale on śpiewa tylko we Lwowie, w Warszawie, i w Krakowie, i — mości dobrodzieju, figlów niemieckich nie lubi, poczciwemi drogami chadza, a śpiewa, aż za serce chwyta!

Ach, dajcie nam nieba! takiego dygnitarza-rodaka, ale pod warunkiem, ażeby w swoim zawodzie śpiewał, jak śpiewa Köhler!

Obok tego wiecznie młodzieńczego weterana sceny, godzi się postawić skromnego, nic prawie nie wymagającego, a zawsze użytecznego, zawsze sympatycznego Koncewicza. W r. 1852 systematycznie zawistny mi los kazał mi być słuchaczem „retoryki" (wówczas 6tej klasy gimnazjalnej) u OO. Bazylianów w Buczaczu. Koncewicz siadywał o kilka ławek za mną, bo ja oczywiście byłem prymasem w klasie, jak wszyscy ludzie, z których świat później niema pożytku. W niedziele i święta uroczyste według juljańskiego kalendarza, produkował się podczas mszy chór studencki. I znowu powtarzam: „jak p. Gillera kocham" tak jota w jotę ten sam wdzięczny, metaliczny głos który dziś śpiewa Bartola, intonował nam: „*Bożaja mater sijajet*" albo „*Preczystaja diwo, maty ruskoho kraju!*" Według obliczenia jednego matematyka, którego rady zasiągałem, jest temu lat obecnie 24. Mikołaj Niezabuwienny umarł, Solferino, Königgrätz, i Sedan przehuczały koło nas, p. Hubert przestał wierzyć, że „Napoleon musi koniecznie coś zrobić" — a Koncewicz śpiewa, jak śpiewał, i nawet niema pretensji, aby mu przecież kiedyś podwyższono gażę, chociaż sam jeden stanowi naszą operową „żelazną brygadę" i w razie potrzeby zastąpi drugiego basa, barytona, a nawet, gdyby inaczej nie można było, tenora. Tego rodzaju zasługom należy się może więcej uznania, niż najrozgłośniejszemu powodzeniu.

Mamy jeszcze także zasługującego niemniej na chlubną wzmiankę Borkowskiego, mamy znakomitego artystę w panu Mikulskim, i mamy w pannie Wajcównej śpiewaczkę, którąośmielam się postawić obok Koncewicza, chociaż zaledwie urodziła się wtenczas, kiedy ja już musiałem podpowiadać dzisiejszemu naszemu basowi, jak „*ma pipto in futoro*". Panna Wajcówna jest w operze tem, czem jest p. Linkowska w komedji i dramacie, albo czem chciał być i jest mimo twórczej weny, nieoceniony Platon Kostecki w dziennikarstwie.

A teraz, pochwaliwszy z serca i do woli teatr zimowy, letni, i jesienny, i oddawszy wszelką słuszność pp. przedsiębiorcom, niechaj mi wolno będzie do starszego z nich zanieść jednę, gorącą prośbę:

„Od powietrza, głodu, ognia i — Gillera, uwolń nas panie!“ Po co tych awantur w świecie literackim? Co to kogo obchodzi, że jeden, co pisze do gazety, ma weksle u żydów, i pija piwo pod „Gruszką“, a drugi ma tylko *conto corrente* w księgach wiekuistej chwały, będzie kiedyś pijał nektar na tym Olimpie, na którym już nawet i pieprz nie rośnie, a małe aniołki szczebiocą po słowacku, że Polska byłaby niepodległą, i hr. Badeni nie pilnowałby tak ściśle dostawców szutru dla dróg krajowych, gdyby „obcokrajowi“ inżynierowie galicyjskiej ziemi zamiast jeździć na komisję pod Mosty Wielkie, wymierzyli tu nad Pełtwią plac, na którym ma stanąć pomnik autora historji broszur, wydanych przed powstaniem r. 1863, i jedynego *Dei gratia et sua sponte*, szafarza dyplomów na cnoty patrjotyczne? Radzę na serjo, ażeby temu zasłużonemu mężowi dano emeryturę, bo i my „tak sobie czasem“ i z Moskalami nielojalniejśmy się obchodzili, i niejedno napisać i wydrukować potrafimy. Nawet kto wie, czy nie większą było zasługą dać strzelać do siebie, niż siedzieć w chlewku i pisać rozkazy? A więc, ostrożnie — z gazetką, a żwawo z teatrem!

Jan Lam.

Kronika paryska.

Paryż — Maj 1876 r.

Rzecz godna uwagi a wytknięcia, że postać tak wzniosła i poetyczna, jak postać Joanny d'Arc, nie natchnęła żadnego wielkiego artysty we Francji, i że w pieśniach o niej Schiller, jako Niemiec wróg Francji, daleko za sobą własnych jej pozostawił rodaków. W trzech różnych rodzajach sztuki, trzech Francuzów wybrało „Dziewicę orleańską“ za przedmiot swoich utworów. Voltaire oplugawił ją w powszechnie znanym poemacie satyrycznym, pełnym wprawdzie sprytu, jak wszystko, co napisał, ale płaskim pod względem ducha, i brzydkim pod względem dążeń. Ingres szarą, wyblakłą jej karykaturę, nakreślił drzemiącym pędzlem na chłodnem płótnie. Fremiet bardzo niepoczesnym jej posągiem, pełnym błędów a usterek, ozdobił jeśli tak rzec się godzi, jeden z placów paryskich. Biednej męczennicy, jak dowcipnie jeden z tutejszych powiedział kronikarzy, już tylko muzykalnej nie dostawało tortury, to też p. Mermet wziął się do uzupełnia tego braku i na ten cel poświęcił całą pięcioaktową operę.

Muzyka, muzyka serjo nie przypadła w udziale tak hojnie pod innemi względami uposażonej narodowości. Jeżeli w dziedzinie lekkich operetek, pod sztandarem Offenbachów i Lecoq'ów, Francja całej przewodniczy ludzkości, za to w dziedzinie muzyki poważnej kompozytorowie jej Włochom i Niemcom ustępują, a najudatniejsi z nich jak Berlioz, Gounod i t. d. tylko absolutnem hołdowaniem tym ostatnim, i niewolniczą imitacją do siakiej takiej dobijają się wziętości.

Joanna d'Arc, opera p. Mermet świeżo tu po raz pierwszy przedstawiona, wcale tej ogólnikowo zakreślonej nie zmieni sytuacji, i jeśli patrjotyzm francuski pokładał na niej nadzieje wyparowania wpływu niemieckiego, to mu się z niemi pożegnać przychodzi. Słabi znawcy muzyki nie z własnem wyjeżdżamy zdaniem, lecz dosłownie publiczne powtarzamy sądy. Opera p. Mermet pod względem muzyki ciężka, bezbarwna, banalna, pod względem libretta absolutnie nieudolna, skutkiem czego w dziejach artyzmu jako zupełne zapisuje się fiasco i upada pod nawalnicą żartów uszczypliwych.

Ktoś tam wspomniawszy o pożarze budynku starej opery przed trzema laty robi uwagę, że z masy różnych partycyj muzycznych, teatralne zalegających archiwa, jedna tylko partycja pana Mermet została uratowaną cudownym przypadkiem. „Co za okropna klęska!“ złośliwie mu na to jeden z przytomnych odkrzykuje słuchaczy. Tak schlebiająca sukcesowi, publiczność nad każdem znęca się niepowodzeniem.

Biada zwyciężonym! zawsze i wszędzie. Przeciwnie Verdi z „Aidą,“ w „Teatrze włoskim“ świeżo otwartym pod dyrekcją p. Escudier, świetne odnosi zwycięstwo. Opera ta przed czterma czy pięcią laty specjalnie dla egipskiego napisana Khedyw'a, i jego kosztem w Kairze z wschodnim przedstawiona przepychem, obiegła wszystkie niemal większe liryczne sceny Europy, wszędzie huczne wywołując oklaski, aż nakoniec i do Paryża po ostateczne przybiegła uznanie. Nie poskąpiła go jej publiczność tutejsza. Verdi sam jako kapelmistrz liczną dyrygujący orkiestrą, nigdy się może na podobnym nie widział festynie. Owacje, oklaski, wywoływania nie oficjalne, jak w innych teatrach, lecz wypływające z wolnej inicjatywy zelektryzowanej publiczności, mogą połechtać dumę najbardziej zepsutego powodzeniem kompozytora. Otóż każde nowe przedstawienie wspomnianej opery nowym do takich owacyj służy powodem. Bis! Wiwat! Brawo!

Interpretacja świetna. Żeńska szczególniej połowa trupy wielkim odznacza się doborem. Panie Stoltz i Waldmann, artystki *di primo cartello*, pierwsze trzymają role. To nie tak jak w „Wielkiej operze,“ gdzie artyści z wyjątkiem rozumie się Faure'a lub zupełną uderzają nieudolnością, lub też doskonali może niegdyś, lecz dziś już zużyci, chrypłym od starości śpiewają głosem.

Do rzędu tych sukcesów muzycznych zaliczyć trzeba także i „Piccolina,“ słowa Sardou, muzyka Guiraud, komiczną operę, niedawno przedstawioną w teatrze tegoż nazwiska. Autor jej p. Guiraud, to ledwie że nie debiutant. Publiczność dotychczas z kilku tylko drobnych i mało znaczących znała go rzeczy. Laureat rzymskiego konkursu przedstawił już był na jednej z podrzędnych scen tutejszych małą operetkę pod tytułem „Madame Turlupin,“ lecz ta przeszła jakoś niepostrzeżenie i mało się do jego przyczyniła wziętości. „Piccolino“ zatem może być uważanym za pierwszy, doniosły występ młodego muzyka i jako taki ładne o nim na przyszłość zapowiada nadzieje, tem bardziej, że libretto do którego mu dobrać muzykę należało, nędzne i ubożuchne treścią, w całem znaczeniu tego wyrazu, mało się do rozkołysania artystycznej przyczynić mogło fantazji.

By w tej garstce nowin ze świata muzykalnego żadnej ważniejszej nie pominąć rzeczy, wspomnijmy o wyjeździe Offenbacha do Filadelfji, gdzie go za 100.000 fr. na dyrektora koncertów tameczna zaangażowała wystawa.

Wystawa! Otóż wymówiliśmy słowo, zapowiadające nam cuda przyszłości i dziś już niepomału zaprzątające wszystkich umysły. Za dwa lata, w 1878 roku mamy ją mieć w Paryżu. Wyznaczona na ten cel komisja, zajmuje się już wyborem miejsca na jej instalację. Projekta i plany sypią się jak z rękawa. Jedni proponują lasek Buloński, drudzy jak ostatnim razem Marsowe Pole. Są nawet tacy, którzy radzą cały prawie środek Paryża, ogród Tuileryjski, Place de la Concorde, Pola Elizejskie, i plac Inwalidów, szklannym pokrywszy dachem, przemienić w jeden olbrzymi pałac wystawy. Ostatniemu projektowi nie brak wspaniałości, lecz grzeszy on pod względem praktycznym. Gdyby był przyjętym i zatwierdzonym, Paryżanie przez przeciąg lat dwóch, (bo takiego czasu roboty wymagają), musieliby wyrzec się najpiękniejszej i najbardziej uczęszczanej części własnej stolicy. Komunikacje przytem między różnemi kwartałami miasta byłyby przecięte, a przynajmniej utrudnione, co w Paryżu, gdzie i bez tego tłok ludzi na ulicach do olbrzymich czasem dochodzi rozmiarów, smutne mogłoby mieć konsekwencje.

Lasek Buloński znowu ze względu na odległość od miasta, dogodziłby zapewne woźnicom fiakrowym i akcjonarjuszom omnibusowych kompanij, dochody których wzrosłyby nie żartem, lecz skrzywdziłby ubogą część ludności stołecznej, która rada zwidzać wystawę, nie może jednak powiększać i tak z powodu drożyzny podwojonych wydatków. Wszystko to rozważywszy, zdaje się, iż Marsowe Pole miejsce wystawy 1867 r., najlepiej wszystkim dogodzi warunkom. Dodawszy doń przeciwległe po drugiej stronie Sekwany, wzgórza Trocadero, rzuciwszy przez rzekę dla ułatwienia komunikacji, dwa lub trzy mosty, stworzy się plac olbrzymi, według obliczeń o całe zdaje się 50.000 metrów kwadratowych przewyższający ten, jaki wystawa we Filadelfji zajmuje w tym roku.

Będziemy zatem mieli wystawę. Jakie w sercach przemysłowców rodzi ona nadzieje, to pojmiecie łatwo, i tego wam skreślać nie widzimy potrzeby. Co zaś do ludzi, którzy ani handlarze, ani fabrykanci, nic zarobić nie myślą na tym wielkim jarmarku, to oni w tę niedaleką przyszłość niechętnem a trwożnem spoglądają okiem. Wystawa bowiem dla nich, to napływ jednego lub dwóch miljonów cudzoziemców, to ceny mieszkań i wiktu zdwojone, to i tak często nużący zgiełk miejski do stukrotnej podniesiony potęgi, to jednem słowem ubytek z wygód życia, a przybytek do jego fatygi. Czy tyle minusów jeden plus ciekawości zrównoważyć będzie w stanie? Wątpiemy. Ciekawość? Ostatnich lat dwadzieścia zaspokoiło już ją nam sowicie. Dwie w przeciągu ich wystawy paryskie w 1855 i w 1867 r. dwie londyńskie i jedna niedawno wiedeńska, aż do zbytku nas uraczyły. Przyszła będzie dosłownem powtórzeniem przeszłych. Na większą nieco urządzona skalę, bardziej kosztowna, przyczyni się może do rozwoju sztuk i rzemiosł. Z tego też utylitarnego traktowana stanowiska, może być konieczną, zbawienną i t. d., lecz uważana jako przyjemność, według nas przynajmniej, wiele zostawia do życzenia, i wolelibyśmy, by się gdzieś w inne przesiedliła strony, dogadzając wymaganiom postępu a nam naszego powszedniego nie kłucąc żywota. Co za egoistyczne życzenia! Nie wysłucha ich też Paryż zapewne i wystawa odbędzie się wspaniale, nie pytając czyśmy ją naszem wysokiem usankcjonowali zezwoleniem!

Czy przemysł polski jedynemi tylko na niej, jak na dotychczasowych, Mieczkowskiego z Warszawy kwitnąć będzie fotografjami? Daj Boże by było inaczej. Daj Boże byśmy zrozumieli, iż dziś najlepszą manifestacją żywotności jest praca i byśmy zrozumiawszy to, mogli a chcieli dowody takowej w sposób bardziej **zbiorowy** postawić przed oczy Europy. Nie brak nam ludzi zdolnych. Na każdej dotychczasowej wystawie sporo było wystawców polskie noszących nazwiska. Cóż z tego, gdy każdy z nich tem co wytworzył nie ojczystą a obce bogacił firmy. Polak przemysłowiec, gdzieby nie pracował, jakieby nie zamieszkiwał strony, powinien według nas przynajmniej, produkcje pracy swojej i talentu pod zbiorową wystawiać etykietą. Nie będzie na wystawie oddziału polskiego, lecz będzie oddział austryjacki. Otóż, według nas, nie wolno przemysłowcowi Polakowi zamieszkującemu choćby Lizbonę, choćby Neapol, pisać się z Lizbony, lub Neapolu. Powinien on postarać się, by produkt jego mógł zająć miejsce w wspomnianym austryjackim oddziele, powinien on pisać się z Krakowa, lub ze Lwowa, z Warszawy, lub z Poznania nakoniec. Nie wiemy czy na to urządzające wystawę pozwalają przepisy, lecz gdyby nawet niepozwalały, to muszą być sposoby obejścia ich w koło, wykręcenia się przed niemi, chociażby dla użycia ich wystawca, musiał coś z indywidualnych, z osobistych poświęcić korzyści. Tym tylko sposobem zamanifestować można przemysł polski, dowieść światu, iż on żyje, kiełkuje, kwitnie, i że pomimo przeszkód a zawad przez wrogów mu stawianych, w jedną zbiorową kupi się całość. (Dok. nast.)

Ze świata muzycznego.

(Dokończenie).

Czerniowieckie Towarzystwo muzyczne istnieje od r. 1859, a życie swoje zawdzięcza 17tu członkom złożonym po większej części z amatorów i urzędników. Mimo różnych narodowości, mimo że ludność tego miasta w porównaniu ze Lwowem jest o dwie trzecie mniejszą, przedstawia nam ono aż nadto przekonywujący fakt, do jakich rezultatów i do tego w jak krótkim czasie doprowadzić może dobra wola i zamiłowanie do muzyki. Z prawdziwą przyjemnością, a zarazem i nie bez pewnego wyrzutu dla nas samych, że dotychczas nic podobnego zrobić nie byliśmy zdolni — ujrzeliśmy na estradzie koncertowej liczny zastęp chóru męzkiego (około 40 członków) —

przeszło 20 kobiet reprezentujących chór żeński, i orkiestrę, której członkami po większej części są sami amatorowie. W starannie opracowanem wykonaniu dzieł programem objętych, widocznem było, że to nie jest skutek jednorazowego i to wyjątkowo na ten występ przygotowania, lecz wytrwałej, dłuższej i z całą systematycznością przeprowadzonej pracy, która w tych siłach wyrobiła już dziś pewną rutynę. I jak to Towarzystwo, które w zawiązku mieszcząc się zaledwie w wynajętych prywatnie na ten cel kilku skromnych pokojach, dziś stawia sobie własny budynek, tak też i jego siły zestrzelające się do jednego ogniska, na podstawie zamiłowania i wspólnej pracy, wzrastały powoli, i obecnie stanowiąc już pewną korporację, reprezentują wykształconą muzykalnie publiczność. Piękną tę instytucję wzniosły tam nie zapisy sum znacznych, ani większe ofiary pojedynczych osób, lecz jedność i zgoda, które nie znając różnicy wyznań, narodowości i stanów na polu sztuki, wszystkich kojarzą pod wspólny sztandar i do wspólnego prowadzą celu. Nie znajdzie tam bowiem ani jednego miłośnika muzyki, któryby do Towarzystwa czynnie nie należał, lub przynajmniej go w jakibądź sposób nie wspierał. Tym to sposobem podnoszony duch artystyczny, zwracając coraz więcej na siebie powszechną uwagę, obudził nareszcie w publiczności ogólną potrzebę swego życia; osoby zaś wpływowe i zamożniejsze, widząc że warto coś zrobić dla instytucji, która wytrwałą pracą dała już rękojmię swej przyszłości, przyczyniły się chętnie do jej ustalenia, rada zaś miejska uświęciła szlachetne te cele ofiarowaniem placu wartości kilkunastu tysięcy, na którym właśnie obchodzono rzeczoną uroczystość.

U nas kończy się wszystko na projektach, które zwykle bywają piękne i wielkiej doniosłości, lecz zawsze brak im bagatelki... wykonania! Słyszeliśmy np. kiedyś o mającej się urządzić wielkiej loterji na korzyść Towarzystwa; dlaczegoż dotychczas nikt się do tego nie bierze? Ogłoszone przed paru laty składki po całej Galicji, przeprowadzone były tak energicznie, że rezultat gorącej tej agitacji *pro bono publico* wykazał kolosalną cyfrę... około 37miu guldenów!...

Nie jest zamiarem naszym szykanować Gal. Tow. Muzyczne, ani też do nas należy dyktować mu jakiekolwiek prawa, upominamy się tylko o to, co być powinno i co by być mogło, gdyby się ono w swych czynnościach, z całą ścisłością przepisanych statutów trzymać zechciało. Przyszłość Towarzystwa leży najprzód w porządku jego wewnętrznej organizacji, a następnie w poparciu publiczności. Publiczność nasza, jak każda inna, zanim się do współdziałania poruszy, potrzebuje widzieć rzeczy jasno, potrzebuje przekonania, że instytucja rzeczywiście może być kiedyś jej chlubą, a więc że warto jej dopomódz; antagoniści zaś, których zresztą nigdzie nie brak, i niechętni, aby nie zostać sami, pójdą także za ogólnym przykładem. Do Towarzystwa więc samego przedewszystkiem należy wzbudzić do siebie to powszechne zaufanie a raczej do pp. Wydziałowych którzy z większą gorliwością powinni pełnić honorowe obowiązki, a którzy widząc że nie tylko Czerniowce lecz nawet Brody budują lokale dla swych towarzystw, nie powinni czekać smutnej chwili w której ich Gródek albo Kulików zawstydzi!...

Walery Wysocki.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Córka Hamilkara, powieść Gustawa Flaubert, przekład na język polski przez Natalią D. Nakład Dygasińskiego. Kraków 1876.

Dobra powieść historyczna, to prawdziwy skarb w czasach dzisiejszych. Ta, której tytuł przytoczyliśmy powyżej, nie jest wprawdzie oryginalną, ale i za przekład należy się uznanie, bo „Córka Hamilkara," której autor zapoznał nas z życiem starożytnych Kartagińczyków, należy bezsprzecznie do najlepszych utworów powieściowych. Przekład sam jest wierny — język jasny i poprawny.

— Piosnki i gawędy humorystyczne, napisał M. Rodoć. Kraków 1876. Zeszyt I.

Szczęśliwy tłumacz piosenek Berangera postanowił wydać oryginalne swoje utwory, które zeszytami będą perjodycznie wychodziły. Poczciwa, liberalna tendencja, wieje z każdego słowa. Między gawędami znajdującemi się w I. zeszycie, uderza głębokim sarkazmem wiersz: „Pan Bóg w kościele." Zeszyt II. wyjdzie w lipcu r. b.

— Spytko z Melsztyna, wojewoda krakowski, założyciel Sambora. Opracował Marceli Turkawski, Samborzanin, z tabelą genealogiczną. Lwów 1876.

Jest to praca sumienna, spisana na podstawie dobrych źródeł, a przyczyniająca się w wysokim stopniu do wyświecenia historji jednego z większych miast galicyjskich.

Nowości

podawane przez księgarnię

SEYFARTA I CZAJKOWSKIEGO.

we Lwowie.

Bartoszewicz Juljan. — Kniaź i książę. w 8ce str. 42. Kraków 1876. 60 ct.

Biblioteka przedruków.

Zesz. I. Zimorowicza Bartłomieja Hymny na uroczyste święta Bogarodzicy. w 8ce, str. 34. Kraków 1876. 30 ct.

Zesz. II. Glicznera Erazma. Książki o wychowaniu dzieci. w 8ce, str. 146. Kraków 1876. 80 ct.

Fischer ks. Engelbert. — Szkoła, dom i kościoł. Za zezwoleniem autora w wolnym przekładzie wydał i do stosunków kraju zastosował ks. J. J. Rozwadowski. w 8ce, str. 96. Kraków 1876. 40 ct.

— Sakrament bierzmowania. Książeczka do nauczania w szkole i w domu. Na język polski przełożył ks. J. Rozwadowski. w 12ce, str. 90. Kraków 1876. 50 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Przy ulicy Halickiej, na kamienicy l. 54 umieszczono temi dniami nad bramą tablicę marmurową ze złoconym napisem tej treści: „W tym domu mieszkał i umarł d. 25 Lutego 1876 r. Seweryn Goszczyński."

— Tom 4ty dzieł W. Pola zawiera trzecią część północnego wschodu Europy: Obrazy z życia i natury. Serja Isza. I. Na lodach. II. Na wodach. III. Z puszczy. IV. Na wyspie. V. Na Beskidzie. VI. Z nizkiego i szerokiego Beskidu. VII. Z krain stepowych. VIII. Ze stepu. IX. Z burzy. X. Z burzy górskiej. — Serja IIga: I. Na łodzi. II. Pamiętnik o Dniestrze. III. Z dobrych kątów. IV. Na jeziorach. V. Z czarnego lasu i Czarnej góry. VI. Puszczaki Mazowsza. VII. Na Groblach. VIII. Z Tatr. XI. Z czarnych lasów i zielonych borów.

— Dnia 14 bm. otwarto w Monachjum wystawę sztuk pięknych.

— W Paryżu wznowiono operę Gounoda „Filemon i Baucis." Niegdyś utwor ten nie miał powodzenia, dziś przyjęto go bardzo dobrze.

— Album Matejki, wydawane staraniem warszawskiego nakładcy Lewenthala, zostało nareszcie ukończone. Zeszytów jest razem trzy.

Podróże i zjawiska natury.

— Okręt polarny Pandora, wypłynął d. 27 maja z portu Portsmouth, wioząc z sobą listy i dzienniki dla statków należących do angielskiej wyprawy biegunowej.

— Dnia 22 maja odbyło się w Londynie doroczne zgromadzenie Towarzystwa geograficznego. Ze sprawozdania dowiadujemy się, że Towarzystwo liczyło 3.125 członków, płacących rocznie 8.000 funtów. W miejsce dotychczasowego prezydenta H. Rawlinson, który ustąpił, wybrano sir Rutherforda Alcock, byłego posła w Japonji i Pekingu. Rząd przyrzekł Tow. dać na pokrycie kosztów podróży Camerona 3.000 funtów.

— Z Corleone na Sycylji donoszą o powtarzających się tamże silnych trzęsieniach ziemi.

— Jezioro Nausiedlerskie (Neusiedler See) we Węgrzech, którego wody niedawnemi czasy prawie zupełnie znikły były poczęło znowu pojawiać się nagle i to na wielkie rozmiary. Piszą z Oedenburga, że stare łożysko napełniło się w krótkim czasie, a nadbrzeżni mieszkańcy wyciągają nie na żarty zeschłe czółna, by na nich przebyć zalane wodą przestrzenie, które niedawno jeszcze pługiem orano. Po ustąpieniu bowiem wody, ogromne przestrzenie uzyskanej ziemi zamieniono rychło na łąki i orne pola, a choć one zrazu nie wielkie przynosiły korzyści, zawsze obawa utraty ich przez ponowne zalanie jest dotkliwą. Miejscowości Rust i Holling, znajdują się zupełnie pod wodą. Czy stan ten długo potrwa, orzec dziś trudno.

— Chiny posiadają największy na całym świecie ogród. W otoczeniu Szangaiu, znajduje się przestrzeń wynosząca nie mniej jak 50000 ang. mil kwadrat. Słusznie nazywają ją „ogrodem Chin" bo od wieków uprawiana i utrzymywana tak znakomicie, jak tylko wyobrazić sobie można pod względem agrikultury. Każdego roku ogród ten dostarcza właścicielom trzech zbiorów; jest to zaś olbrzymia łąka położona kilka stóp nad powierzchnią wody, a poprzecinana istną siecią kanalików.

— Porucznik Cameron miał w Londynie 2go maja odczyt o swojej wyprawie do Afryki. Jego czarujące opisy o urodzajności ziemi, zdrowym klimacie i olbrzymich bogactwach średniej Afryki, wywołały senzację ogólną, i już noszą się niektórzy z projektem kolonizowania tych ziem Europie dotąd nieznanych. Stara kompanja wschodnio indyjska ma służyć za wzór do utworzenia pierwszych osad handlowych. Wysoko położone osobistości wyrażają się bardzo przychylnie o tym pomyśle, a jeśli tylko kapitaliści odważą się ofiarować potrzebne pieniądze, to bardzo prawdopodobne, że angielscy kupcy skorzystają pierwsi z tego, co odkryła wyprawa angielska.

Sport.

— Warszawski „Wiek" pisze o pierwszym dniu wyścigów w tem mieście: „Pierwsze dwie gonitwy jednę o nogrodę towarzystwa rs. 500 i drugą „Derby international" rs. 1,000 wygrały konie p. Mysyrowicza, „Fripanier" i „Tetis". Ta ostatnia miała niebezpiecznego współzawodnika w „Karmazynie" ogierze hr. Jana Tarnowskiego. Pomiędzy drugim a trzecim najwięcej interesującym wyścigiem była dość długa przerwa. Z pięciu zapisanych do biegu koni dwa „Pokusa" klacz spółki warszawskiej i „Young Vett" klacz p. Czyczagow przez samych właścicieli wycofane zostały, trzeciego współzawodnika „Fantaskę" klacz księcia R. W. Sanguszki z powodu nie dopełnienia pewnych formalności niedopuszczono do wyścigu, tak że w szrankach stanęły tylko „Quasimodo" ogier p. Iłowajskiego i „Ewa" klacz księcia R. E. Sanguszki. Warunki tego wyścigu są trudne bieg bowiem wynosi wiorst pięć, a wczoraj były tem trudniejsze że ulewny deszcz zamienił tór w ciężkie gęste błoto. Z początku obadwa konie biegły prawie równo, „Ewa" jednak szła ciągle przodem lubo w bardzo małej od „Quasimoda" odległości. Przy ostatnim dopiero obiegu toru zaczęła wyprzedzać go coraz więcej i pierwsza też stanęła u mety, zostawiwszy swego współzawodnika o kilkadziesiąt koni za sobą, i zdobyła nagrodę rs. 2.000. W czwartej nareszcie i ostatniej gonitwie o nagrodę Towarzystwa rs. 300 ubiegały się tylko dwa konie: „Telegraf" własność hr. Berga, jeżdżony przez barona Maydel i „Menotti" koń hr. Niroda. Na „Menottim" jeździł p. A. Wotowski, który od początku poprowadził wyścig i pierwszy stanął u mety. „Telegraf" pozostał w bardzo znacznem za nim oddaleniu, zaledwie minąwszy słup dystansowy. Drugiego dnia wyścigów, o główną nagrodę 1.000 rubli, ubiegały się „Przedświt" będący dziś własnością jakiegoś Niemca, który go kupił od hr. Tarnowskiego i „Fantaska" klacz ze stada ks. Sanguszki. „Przedświt" był chory i nie skończył nawet biegu; nagrodę wzięła „Fantaska".

Wielkie przedsięwzięcie.

— Roboty przygotowawcze około projektowanego tunelu Kaletańskiego już rozpoczęte zostały w Langatte niedaleko od Calais. Wykopano kilka szachtów na 40 metrów głębokich. Kiedy szachty te doprowadzone będą do głębokości stu metrów niżej dna morskiego, przebite będą w warstwie twardej kredy galerje na 1.000 metrów długie. Te dopiero ostatnie roboty rozstrzygną, czy wyliczenia inżynierów, którzy robili projekt są dobre, i czy warto jest prowadzić dalej kosztowne roboty około samego tunelu.

Nekrologja.

† George Sand, znakomita autorka francuska, po mężu margrabina Dudevant, urodzona w r. 1804 w Paryżu, umarła tamże pierwszych dni bm.

ROZMAITOŚCI.

— Korzystny zwrot, który w ostatnich dwudziestu latach miał miejsce w Japonji, tak pod względem zwyczajów, jak przekonań i polityki, zdziałał, że to olbrzymie państwo, przedtem tak szczelnie dla zagranicy zamknięte, stało się przystępnem dla obcych, co więcej i dziwniej, uznało wyższość cywilizacji europejskiej, i usiłowało wprowadzić ją u siebie we wielu względach. Jeśli oglądniemy się za motorem tego ruchu nadzwyczajnego znajdziemy, że tak jak wszędzie i zawsze przy wielkich reformach społecznych, i tam przekształcenie ogólne wzięło początek z inicjatywy jednego a dzielnego duchem i umysłem człowieka. Tym reformatorem Japonji jest niejaki Sandjo, żyjący i urzędujący dziś pierwszy minister cesarstwa. Przypatrzmy się pobieżnie, jak przedtem wyglądała tam władza naczelna. Od niepamiętnych czasów była ona podzieloną pomiędzy dwóch obok siebie urzędujących mocarzy: mikada, tj. duchownego cesarza i taikuna, świeckiego. Władza i godność ostatniego zostały uzurpowanemi dawnemi czasami przez jednego z dowódców armji, który z pomocą Daimiów, tj. książąt lennicznych, zawistnych potędze mikada, wyniósł się do równorzędnego mu stanowiska. Rzecz oczywista, że taka dwoistość władzy, przyczyniała się w wysokim stopniu do rozterek w państwie. Wszystko było, podzielone na stronnictwa, interesa, nigdzie jedności, nigdy siły skoncentrowanej. Powstania i spory niepokoiły kraj prawie bezustannie, raz panowali stronnicy mikada, to znowu taikuna. Jakkolwiek. prędzej czy później zgubne skutki takiego składu rzeczy, były oddawna ogólnie przewidywane, mimo to japońscy mężowie stanu nie zdołali zdobyć się na środki zaradcze. Szczęściem zjawił się Sandjo, najznaczniejszy z Daimiów, i przyniósł z sobą rozwiązanie zagadki. Posłując przy rozmaitych sposobnościach po za granicami kraju, mianowicie do Ameryki, Chin, Indyj i wielu dworów europejskich, gdzie wszędzie okiem badacza śledził stosunki i ustroje rządów, pojął, że tylko zjednoczenie wszelkiej władzy w jednej osobie, a usunięcie taikuna z jego rządami opartemi na żołdactwie, przytem zaś stanowcze podbicie i ubezwładnienie wrogich Daimiów, mogą zapewnić ojczyźnie trwały pokój i niezbędny rozwój wewnętrzny. Dla tego planu śmiałego niezmiernie, gdy zważymy warunki i przeciwności, którym się opierać musiał, starał się najprzód pozyskać kilka znakomitszych osobistości państwa, przedewszystkiem zaś panującego wówczas mikada Komel-Tenno (ojca dzisiejszego cesarza Muts-Chito.) Propozycje jego daleko w następstwach idące, znalazły zrazu słabe przyjęcie. Później atoli członkowie kilku rodzin książęcych, uprawnionych do ewentualnego następstwa tronu, dali się ująć dla reformy, i utworzyli potężne stronnictwo; z pomocą ich powagi i wsparcia ułożone przez Sandja przekształcenie ustroju naczelnego zostało dokonanem. Wprowadzenie europejskich urządzeń, tak w armji, jak flocie i prawodawstwie, było już tylko kwestją czasu. Sandjo, jako twórca wszystkiego, nietylko posiadał nieograniczone zaufanie zmarłego cesarza, ale w nagrodę zasług swoich został od obecnego Muts-Chita, przy objęciu przezeń tronu w r. 1867 wyniesionym do godności Sosai'a tj. pierwszego ministra. Następnie objął przewodnictwo rady państwowej, i urząd ten, pierwszy w państwie piastuje po dziś dzień ku zadowoleniu narodu i mikada.

— Dzwony powstały dopiero wówczas, gdy kościół chrześcijański zapanował nad wszystkiemi ludami Europy, a wieść jego o służbie bożej rozlegać się mogła już jawnie po świecie. Te pierwsze dzwony były jednak bardzo pojedyncze i niedostateczne. Robiono je z kutych płyt żelaza, silnie spajanych ze sobą, jak tego dowodem najstarszy okaz w tym rodzaju, przechowany w muzeum w Kolonji. Składa się on z trzech kawałków żelaza, spojonych miedzianemi goździami, a tradycja przypisuje mu poważny wiek 12 z górą stuleci. Dzwony tamtych czasów były zwykle czworograniaste, jak n. p. ów znajdujący się w St. Gallen z czasów św. Columbana (610 r.) lub w Murnau, w Bawarji, datowany z 8go wieku. Dźwięk tych dzwonów tak niepodobnych do dzisiejszych wydawał się współczesnym czemś cudownem i strasznem zarazem. Starzy kronikarze opowiadają w myśl tego całkiem serjo wypadek następujący: „Gdy w r. 615 król Chlotar wyruszył oblęgać miasto Sens w Burgundji, biskup Lupus kazał uderzyć w nowy dzwon, by zwołać nim lud na obronę. Otóż ten niezwykły a potężny dźwięk obił się tak silnie o uszy nieprzyjaciół, iż wydał im się głosem dolatującym z niebios, i król z całem swojem wojskiem przestraszony, zabrał się co rychlej do odwrotu. Kto pierwszy począł wylewać dzwony, jest rzeczą niewiadomą. choć tradycja mówi, że był nim niejaki Paulinus z Noli. Znanym już potomności mistrzem w tej mierze jest Tanko, mnich z St. Gallen który wylewał dzwony dla Karola Wielkiego. Zginął on od uderzenia młota (zwanego u nas sercem dzwonu) jednego ze swoich dzwonów, a tradycja ubrała tę rzecz w następujący sposób: Cesarz dał mu srebro, które miał ztopić i domięszać do spiżu. Tymczasem Tanko sprzeniewierzył znaczną część drogiego kruszcu, i gdy dzwon był już gotowy i wisiał na rusztowaniu, napróżno inni usiłowali wydobyć z niego dźwięki. Zawołano samego mistrza, a skoro pociągnął za sznur, sprawiedliwość boża została mu wymierzoną. Padł nieżywy ku wielkiemu osłupieniu tysięcznej rzeszy. Jak z tego widzimy, wiara ludu, iż srebro wmięszane do spiżu sprawia przyjemny dźwięk, sięga do najstarszych czasów. Najlepszym materjałem jest miedź z cyną angielską, co dotyczy zaś czystości i pełności dźwięków, zależą one wyłącznie od formy dzwonu i od stosunku jego rozmiarów. Te prawidła ogólne zdobywano jedynie z pomocą doświadczeń powolnych, i dziś jeszcze nikt nie jest w stanie obliczyć dokładnie potrzebnych danych. Nic więc dziwnego że sztuka lania dzwonów była w średnich wiekach prawie tajemnicą, zchodzącą z ojca na syna, a w wielu miejscach lud zabobonny podejrzywał ich o związki z szatanem, bo bez jego pomocy zdawało się mu nie mogliby dokonać owego nader niebezpiecznego a niepewnego dzieła. Ostatnie odnosi się do okoliczności, iż przy nader szczupłych środkach, jakiemi rozporządzali, często zdarzyło się, że forma pękła, przyczem oczywiście nieobeszło się bez wypadków śmierci i pożaru. Pojąć to łatwo, że skutkiem tego ta sztuka owianą była jakimś urokiem czarnoksięstwa i w danym razie, stosownie do powodzenia lub niepowodzenia, przypisywano mistrzowi, bądź dobre bądź złe z czartem stosunki. Jak znowu z wylewaniem dzwonów łączono myśl o szatanie, tak też gotowym już przypisywano wpływy czarujące i magiczne. Pierwotnem ich przeznaczeniem było, zwoływać lud do świątyni na nabożeństwo, co przedtem uskuteczniano zapomocą dętych instrumentów, albo też klekotania dwiema deskami. Atoli nietylko z oznajmieniem zwykłego nabożeństwa odzywały się dzwony; w nadzwyczajnych razach głosiły one zbliżanie się nieprzyjaciela, także gdy czarne chmury nagromadzone na horyzoncie groziły wielką ulewą lub gdy tak częste w tamtych wiekach zarazy, zbliżały się do jakiej miejscowości. Wówczas dzwony zewsząd tętniały gwałtownie w powietrzu, zwołując lud na modły, któremi uprosić miano Wszechwładcę świata od odwrócenie bliskiego niebezpieczeństwa. Wnet jednak, lud zabobonny nie zadowalając się właściwem przeznaczeniem dzwonów, a widząc je używanemi w groźnych wypadkach, pomięszał w swoich pojęciach formę z treścią i począł mu przypisywać nadziemskie jakieś siły. To też zdarzyło się, że już przy wylewaniu dzwonu, chcąc podwyższyć wartość jego, obliczano na ten zabobon pospólstwa i wymyślano w tym celu rozmaite, na wyobraźnię działające bajki. Jeden zakon np. mnichów w Niemczech chlubił się, iż posiadał dzwon, bardzo skuteczny przeciw ulewom i gradobiciom a to z tego niby tytułu, że do ztopionego spiżu przed wlaniem w formę, dodano kroplę krwi Chrystusa. Dzwonienie przeciw gradobicia i ulewom, jest prawie wszędzie słusznie wzbronionem. Za to tu i owdzie utrzymał się jeszcze zwyczaj dzwonienia „przeciw Turkom.“ Ma ono miejsce zwykle o 11 godz. przed południem a datuje się z r. 1457 od papieża Kaliksta IIIgo, który nakazał był w całym swiecie chrześcijańskim dzwonić o tej godzinie, by lud na ten znak odprawiał modły do Boga o ochronę przeciw groźnym Osmanom.

— Za czasów elektora Fryderyka Wilhelma brandeburgskiego, pewien żołnierz w Stargard, wykroczywszy ciężko przeciw subordynacji, został przez sąd wojenny na śmierć skazanym. Młoda dziewczyna, z którą on właśnie przed kilką tygodniami zaręczył się był i wnet ją miał poślubić, błagała sędziów na klęczkach o litość nad kochankiem, ale jak się domyśleć łatwo napróżno. Właśnie zdarzyło się, że poseł tatarski Aslam Harti Musa przejeżdżał przez pobliski Szczecin, i przypadkiem zasłyszał o całej sprawie: o wyroku na żołnierza i usiłowaniach uwolnienia go zrozpaczonej dziewczyny. Ujęty współczuciem dla nieszczęśliwej pary, posłał natychmiast swojego tłumacza wraz z całą świtą do kanclerza państwowego, z prośbą od siebie o ułaskawienie skazanego. Choć prośby te były nadzwyczaj usilne, a nawet poseł odwoływał się na przyjaźń, którą żywi elektor dla ludów wschodnich, kanclerz musiał mu odmówić, tem bardziej, gdyż sprawa ta nie należała do zakresu jego władzy. Poseł jednak nie zraził się tem i ponowił swoje zabiegi, co spowodowało kanclerza, iż napisał do prezydenta sądu wojennego, przedstawiając mu całą sprawę i prosząc w imieniu posła o względy dla skazańca. Odpowiedź prezydenta była również niekorzystną. Na to posłał poczciwy Tatar tłumacza do kanclerza, i kazał mu oświadczyć swoje zdziwienie niezmierne, iż chrześcijanie mniej mają litości nad swoimi współbraćmi niżeli poganie, a zarazem prosił go o naznaczenie godziny dla osobistej z nim rozmowy w tej sprawie. Gdy się w danem miejscu zeszli, Tatar nie tylko powtórzył gorącemi słowy swoją prośbę o ułaskawienie żołnierza, ale oświadczył nawet, iż gotów jest na podziękowanie upaść do nóg elektora. Nadto obiecywał wdzięczność dozgonną, którą objawiać będzie wobec chrześcijan ile razy tego zajdzie potrzeba, czy to dla podróżujących po kraju jego czy wziętych w niewolę. Na odpowiedź kanclerza, że wykonanie wyroku jest niezbędnem ze względu na karność konieczną w armji, szlachetny Tatar zobowiązał się w razie ułaskawienia skazańca, oprócz przyrzeczonych już dziesięciu, jeszcze trzech Chrześcijan wypuścić z niewoli tatarskiej. Te zabiegi posła spowodowały oczywiście przewleczenie egzekucji, aż w końcu sprawa cała oparła się o elektora, i ten ułaskawił żołnierza. W ciekawy atoli sposób objawiła się wdzięczność uszczęśliwionej pary dla poczciwego Tatara. Gdy po kilku latach urodził im się syn, ojciec prosił elektora, by mu wolno było nadać dziecku na chrzcie imię: Aslam-Harti Musa, i by potem nazwisko to przejść mogło na ewentualne potomstwo syna. Elektor zezwolił i dziś jeszcze żyje w Gdańsku człowiek nazywający się Aslam Musa, który może pochlubić się, iż pochodzi od owego pierworodnego syna żołnierza, a nosi nazwisko szlachetnego Tatara.

— Pomiędzy licznymi półgłówkami, którzy w czasach Reformacji pojawiali się bezustannie i swojemi niedorzecznościami tłumom głowy bałamucili, pojawił się także niejaki Jan Gerre, z Demmin w Pomeranji. Nowy reformator oświadczył wszem w obec, iż niegodziwą jest rzeczą, by duchownym wypłacano pensje, i ofiarował się pełnić obowiązki kaznodziei bezpłatnie, skoro ten urząd powierzonym mu zostanie, byle tylko jego najniezbędniejsze potrzeby cielesne staraniem parafjan zaspokajane były. Propozycja ta podobała się większości parafjan, gdyż tak taniego kaznodziei nie mieli nigdy dotychczas. Lecz jakiż był koniec piosenki? Przebiegły filut kazał im drogo zapłacić tę nieprzezorność; od tygodnia do tygodnia zwierzchność gminy otrzymywała od kupców sążniste rachunki, za mięso, ryby, chleb, płótno, sukna, a przedewszystkiem za antały piwa i wina, gdyż tani ten „kapłan boży“ nie gardził dobrym napitkiem, i snać na większą chwałę Stwórcy wysuszał kielichy w przerażający sposób. Słowem nie upłynął kwartał, a współrwanewy przekonali się ze smutkiem, że ten bezpłatny kaznodzieja kosztował ich więcej, niżeli wynosiła całoroczna zwykła pensja, przeznaczona dla duchownego.

Treść Nr. 25.

Towarzystwo wzajemnej adoracji; Chrzest Polski powieść J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego (c. d.); *Mieczysław Romanowski* studjum A. Kuliczkowskiego (c. d.) *Messjanizm i Towiańszczyzna* przez Cz. Pieniążka (c. d.); *Przygody w Indjach podróżnika Tomasza Anquetila* (c. d.) *Tajemnicza wyspa* przez Juljusza Verne (c. d.); *Roskoszne chwile* wiersz Janiny Ł; *Tak być musiało* powieść Józefa Rogosza (c. d.); *Długosz o Elżbiecie trzeciej żonie Jagiełły* napisał A. Prochaska (c. d.); *Piśmiennictwo polskie* B. Czerwieńskiego (dok.) *Pogadanka* Jana Lama; *Kronika paryska* J. S. Chamca; *Ze świata muzycznego* przez W. Wysockiego (dok.); *Bibljografja. Nowości księgarskie.— Wiadomości ze świata. Rozmaitości.*

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).